ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY.

TOM. 45.

CENA 60 HAL.

BRODY, 1906. NAKŁADEM I DRUKIEM FELIKSA WESTA.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

ZAMEK KANIOWSKI.

POWIEŚĆ.

OPRACOWAŁ

PROF. DR MICHAŁ JANIK.

Stanisław R. Grabiński

ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

ZAMEK KANIOWSKI.

POWIEŚĆ.

OPRACOWAŁ DLA UŻYTKU SZKOLNEGO

PROF. DR. MICHAŁ JANIK.

BRODY. ⊙ NAKŁADEM I DRUKIEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA ⊙ 1906.

Goszczyński w okresie tworzenia Zamku Kaniowskiego.

Zrażony boćkowską karnością bazyliańskiej szkoły w Humaniu, postanowił ją Goszczyński porzucić. Uczynił to wespół z Józefem Bohdanem Zaleskim, z którym stanowili niejako głowę szkolnej opozycyi. Stało się to z końcem r. 1819., a więc w połowie roku szkolnego. Goszczyński porzucił drugoletnią klasę piątą, Zaleski szóstą. Krok ten nie pozostał bez wpływu na wykształcenie poety, bo, utrudniwszy sobie dostęp do uniwersytetu, musiał pomagać sobie samouctwem. W r. 1820. widzimy obu młodzieńców w Warszawie, gdzie Goszczyński tylko przez jeden rok przebywa. Miał jednak dość czasu porobić wśród młodzieży liczne znajomości i został przyjęty do tajnego związku „Braci wolnych Polaków“, gdzie złożył przysięgę na wierność Polsce i znalazł się w chorągwi Rejtana, która miała schadzki w pałacu dawniej Radziwiłłowskim przy ul. Miodowej. W tym czasie drukował z Zaleskim przekład dwóch ód Horacyusza w Dzienniku wileńskim, a na własną rękę Dumę o Stefanie Czarnieckim, kilka sonetów i tryoletów, w tygodniku warszawskim: Wanda, redagowanym przez F. S. Dmochowskiego. Właśnie wtedy toczyła się walka o wolność Grecyi. Młodzież polska gorzała wówczas pragnieniem swobody i oczekiwała tylko na chwilę sposobną. Nie mogąc doczekać się stanowczych wypadków we własnej ojczyźnie, postanowił Goszczyński w towarzystwie młodych Dobryczów wyprawić się na południe. Ale gdy koledzy zwlekali, spalił młody poeta pozaczynane w Warszawie utwory (między nimi romans p. n. Gosław) i pieszo, bez pieniędzy, puścił się na ojczystą Ukrainę, myśląc, że tam znajdzie potrzebne fundusze i przeprawi się na Odessę. Gdy nadzieje zawiodły, po-

został na Ukrainie do r. 1828. i cały ten czas spędził na wędrówkach. Najczęściej przebywał w domu Krechowieckich w Leszczynówce, wiosce odległej o dwie mile od Humania, albo w miasteczku Aleksandrówce w pow. czehryńskim, u przyjaciela swego, Michała Grabowskiego. Prócz tego bawił kolejno i przez czas niedługi w Kajetanówce, Humaniu i Kijowie, ścigany ciągle przez policyę rosyjską za poezye patryotyczne, które krążyły po Ukrainie w licznych odpisach. Niektóre z tych utworów na zawsze zaginęły, inne z obcych rąk otrzymywał poeta w późniejszych latach i pomieszczał w nowych wydaniach swoich poezyi.

Lata spędzone na Ukrainie miały zostawić niezatarty ślad na działalności poetyckiej Goszczyńskiego. Nie bez pewnej słuszności pisze najobfitszy tych lat jego biograf (A. Giller: Sew. Goszczyński, szkic biograficzny w Sobótce, Lwów 1875): „Goszczyński jest najbliższym ludu ukraińskiego. W jego duszy... znalazło głębokie echo dążenie społeczne tego ludu, jego krwawe walki, ponure wspomnienia przebytych nieszczęść, ciemne a mgliste nadzieje i wiara w duchy, wpływające na losy ludzi. Goszczyński będzie kiedyś najlepiej rozumianym przez masy ukraińskie; śpiew bowiem jego, surowy nieraz jak zgrzyt ostrzonej stali, twardy jak odgłos uderzającej pięści, grzmi potężnie siłą, wydobytą z piersi tego ludu, do którego całem sercem zbliżył się w swoich wędrówkach... Żywioł, jaki zaczerpnął od ukraińskiego ludu, nie uczynił jednak Goszczyńskiego, jak innego bardzo znakomitego ukraińskiego wieszcza, hajdamackim poetą. Nie! — Ponure, krwią oblane, łuną pożarów oświecone obrazy w Zamku Kaniowskim, nie pobudzają do zemsty, lubo zawierają jej opis. Wyższa chrześcijańska myśl promieniem miłości ozłociła wkońcu zapadłe mogiły zwycięzców i zwyciężonych...“

Zamek Kaniowski zaczął poeta pisać podobno w Leszczynówce w r. 1825., a skończył w następnym roku w Aleksandrówce. Po raz pierwszy pojawiły się urywki tego poematu w „Dzienniku“ Ordyńca w r. 1827.; w całości, a z małemi tylko opuszczeniami cenzuralnemi, wyszedł w Warszawie (drukiem M. Glücksberga) w r. 1828. Drugie wydanie (nakładem Fr. Pillera we Lwowie) z r. 1838. zaopatrzył poeta obszernym wstępem p. n. „Kilka słów o Ukrainie i rzezi humańskiej.“ W następnych wydaniach za życia poety (wrocławskiem i lipskiem) wstęp ten opuszczono.

W r. 1828. zabrał Grabowski przyjaciela swojego w podróż. Nie spodziewając się uzyskać paszportu, wyjechał Goszczyński w charakterze lokaja i zwiedził Galicyę, Śląsk, Morawy i Wiedeń. Z powrotem puścili się na Kraków do Warszawy, ale tutaj Grabowski, ostrzeżony przez wiceprezydenta miasta, Lubowidzkiego, zabrał niebawem niebezpiecznego przyjaciela na Ukrainę. Niezadługo jednak znalazł się Goszczyński napowrót w Warszawie, a dostawszy się pod opiekę Mochnackiego wszedł w samo jądro spisku, przygotowującego listopadowe powstanie. Pamiętnej nocy 29. listopada należał do grupy kilkunastu, którzy ruszyli na Belweder. Po powstaniu nie miał już nigdy powrócić pod zabór rosyjski. Życie pisarza obfitowało potem w różne przygody, a twórczość poetycka zgodnie z życiem zatrzymywała go nad innymi pomysłami i wskutek tego okres, w którym napisał Zamek Kaniowski, stanowi zamkniętą dla siebie całość, a to zarówno ze względu na życie jak i na działalność poetycką Goszczyńskiego.

Geneza poematu.

W przedmowie do Zamku Kaniowskiego opisuje sam poeta historyę wypadków, które następnie w szacie poetyckiej przedstawił. Nie trzymał się ściśle prawdy historycznej, lecz zachował tylko koloryt zdarzeń dziejowych, posługując się zresztą w wysokim stopniu własną wyobraźnią i legendarnością, w którą tradycya ludowa osnuła straszne i smutne dzieje rzezi humańskiej i całej t. zw. koliszczyzny. Dlaczego poeta tego właśnie tematu podjął się w najcelniejszym swoim z młodych lat utworze, na to złożyły się różne czynniki. Dostarczyły ich życie i lektura. Już jako początkujący uczeń w Międzyrzeczu koreckiem nasłuchał się wielu legend ukraińskich od gospodyni swojej, p. Borewiczowej. Po kilku latach wstąpił do szkół w Humaniu, gdzie tradycya wypadków była jeszcze niesłychanie żywą, bo nie brakowało nawet naocznych świadków. „Ta blizka przeszłość (Wasilewski: Narodziny poety - romantyka, Ateneum 1895.), odsłaniana przez starców, zmazana krwią, oświetlona płomieniami pożarów, wywierała swymi efektami grozy niezatarte wrażenie na młodzieńcu, którego olśniło odkrycie, że i tutaj, na tej ziemi, tak dobrze mu

znanej, działy się niedawno rzeczy, godne utrwalenia w epopei". Najwięcej takich opowiadań nasłuchał się Goszczyński w dworku siodlarza Tereszki, u którego mieszkał z przyjacielem swoim Zaleskim. Czytał nawet w młodzieńczym wieku, jak pisze w przedmowie, poemat niejakiego Darowskiego pod napisem: Rzeź humańska. —

Znanem było na Ukrainie podanie o dziewczynie, która zamordowawszy pana błądziła po komnatach kaniowskiego zamku i skrwawionemi rękami znaczyła ślady na ścianach komnat (Nekrolog w Czasie 1876. Nr. 50). — Lud ukraiński opowiadał o dziewczynie obłąkanej, która z hukiem i niezrozumiałą mową przebiegała sioła. Pojawienie się jej wróżyć miało nieszczęście.— Znał także inną dziewczynę, która straciwszy kochanka nawiedzaną była przez mitycznego Żmija, a ponieważ była obłąkana, nie dała się nawet rodzicom o prawdzie przekonać. — Rozbójnik Szwaczka znanym jest kazkom ukraińskim i stawianym na równi z Gontą i Żeleźniakiem, a charakter jego w poezyi ludowej zgodnym jest z przedstawieniem Goszczyńskiego.

Ileż to takich i tym podobnych opowiadań musiał się Goszczyński nasłuchać w późniejszych wędrówkach po Ukrainie. Ciemny lud ukraiński przechowuje do dnia dzisiejszego najdziwaczniejsze podania z prawdziwym pietyzmem, a łączą się w nich pogaństwo z chrześcijaństwem, wspomnienia dziejowe z bajką, zabobon i cześć lękliwa dla mordercy z jakiemś nieokreślonem pragnieniem swobody i z chłopską refleksyą. Poeta materyał ten na wysoką skalę zużytkował, a nie można powiedzieć, aby ze względu na poezyę ludową nawet w hyperromatycznych ustępach swojej powieści dopuścił się przesady. Gdy jeszcze Goszczyński był na ławie szkolnej, dochodziły z Wilna odgłosy o nowych w poezyi kierunkach. Dolatywały wieści o balladach i dumach, czytywano gdzieniegdzie Waltera Scotta, Pieśni Ossyana i Byrona. W Warszawie zastał Goszczyński nowy ruch w całej pełni pośród młodzieży. Wszak niezadługo nie wystarczy spokojny i rozważny Brodziński; fale romantyczności i poezyi ludowej wystąpią z koryta i zaleją wszystkie obszary twórczości poetyckiej. Uczuciowość stanie się wszechwładnym czynnikiem; lud stanie się bożyszczem, przed którym wszystko, co młode, budować będzie ołtarze; rojenia poetyckie zapragnie młodzież przenieść w krainę rzeczywistości. Kierunek będzie to bezwątpienia piękny, o ile dojdzie do głębin duchowych, czczy i jałowy, o ile

pozostanie modą czy manierą, o ile ześlizgnie się po powierzchni. W poezyi dopnie on nawet istotnie swego celu i stworzy zaczątek wielkiej poezyi narodowej.

Z głową, nabitą trafiającemi mu najzupełniej do przekonania ideami, powrócił Goszczyński na Ukrainę, a gdy wyprawa do Grecyi nie doszła do skutku, ambitny młodzieniec i drukowany już poeta zamarzył o stworzeniu poematu narodowego, do którego bohaterów i tła postanowił szukać w najlepiej sobie znanej Ukrainie. W wędrówkach swoich nie zapomniał o książkach. Czytał już Czarnockiego „O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej", poznał Wiesława, teraz czyta kolejno Grażynę, ulubionego Ossyana, Panią Jeziora w przekładzie Karola z Kalinówki, entuzyazmuje się jak wszyscy inni Byronem, a nareszcie dostaje do rąk Maryę Malczewskiego, która miała zawyrokować ostatecznie o losach obmyśliwanego poematu. Marya była prześliczną, zajęła poetę i skłoniła nie do naśladowania, lecz do współzawodnictwa, a kto wie nawet, czy Goszczyński nie miał większych jeszcze ambicyi.

Tak powstaje Zamek Kaniowski, który klasyków przestraszył i oburzył (nazwali go: najściem barbarzyństwa), u młodych znalazł poklask i uznanie. I wyznać należy, że jakkolwiek w ocenieniu Zamku Kaniowskiego krytyka literacka dzieli się do dzisiaj na dwa najsprzeczniejsze stronnictwa, zajął poeta odrazu po ogłoszeniu go drukiem stanowisko znaczące i bardzo samoistne pośród licznej plejady młodych romantyków.

Czy oprócz motywów z ukraińskiej poezyi ludowej i z przeszłości dziejowej nie znajdujemy w Zamku Kaniowskim innych wpływów i reminiscencyi, które nasuwała lektura współczesnych poetów? Napotykamy je także w poemacie Goszczyńskiego i niektóre z nich spróbujemy wyszczególnić. Zaraz na początku opis zamczyska kaniowskiego przypomina podobny opis zamku nowogródzkiego w Grażynie, niezachwiana skała na wstręcie zaburzonej fali (III. 17.) przywodzi na myśl Rumszyskiego olbrzyma, rozmowa puszczyków (I. 5.) ma pewne pokrewieństwo z romantycznym aparatem II. i IV. części Dziadów. Dąb Nebaby powstał może pod wpływem drzewa tak ulubionego w pieśniach Ossyana. Wzywanie duchów bohaterów przez bardów wspomnianego poematu stoi bezwątpienia w związku z wezwaniem ducha Nebaby (III. 1). Pojedynek Nebaby z Lachem i strzała zdradziecka przypomina również liczne

podobne przypadki w pieśniach Ossyana. Do tych także wpływów odnieść można pewną krwiożerczość Zamku Kaniowskiego; a nareszcie ustęp o Szwaczce, który grozi Orlice: „stójże mi widmo! nóż to doświadczony i poświęcony i dobrze ostrzony; rzuć go na wicher, co tańczy po drodze, a gdzie się kręcił, świeżą krew zobaczysz“ — porównać można z podobnem zdarzeniem Fingala, który zagrożony przeszywa na wylot Krutlodę, ducha straszliwej Lody, a on rozlał się w powietrzu bezkształtnie jak słup dymu... Reminiscencyi takich możnaby więcej jeszcze wymienić, lecz nie wpłynęły one bynajmniej na zepsucie oryginalności poematu.

Postać Kseni powstała pod wpływem motywów ludowych i Blanki z Dewanu w Pani Jeziora. Jak Ksenia, uwiedziona przez Nebabę, wpada do reszty w szaleństwo i staje się jego przekleństwem, tak Blanka, skrzywdzona przez Roderyka, straciła jasność rozumu i krzywdzicielowi swojemu przyniosła zgubę. Oto opis Blanki według przekładu Karola Sienkiewicza: „kręta ścieżka czepiała się nad przepaścią, gdzie sterana postać kobieca, zeszpecona gniewem słońca i burzy, odziana w łachmanach, stała na wzgórzu przy drodze i błyskając dokoła niespokojnem okiem po górach, lasach i niebie, zdawała się na nic nie baczyć, lecz wszystko szpiegować; na głowie jej gałązka dzikiego chwastu i pióra czarne, które orły gubią po skałach, za któremi darła się po przepaściach.“ — O wpływie Byrona pisze sam poeta (Nowa epoka poezyi polskiej, Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności, Kraków 1835.), co następuje: „tajemnica ducha tej poezyi (Zamku Kaniowskiego) da się wyprowadzić, mojem zdaniem, jak wiele innych grzechów poezyi polskiej w ogólności, z nieszczęśliwego na nas wpływu czarnej fantazyi Byrona.“

Ale bezsprzecznie najznamienniej, prawdopodobnie bez wiedzy i woli samego poety, uwydatnił się na Zamku Kaniowskim wpływ Maryi Malczewskiego. Pomijam czysto zewnętrzny podział na pieśni i ustępy, bo ten możnaby równie dobrze odnieść do Pani Jeziora Waltera Scotta. Z Maryą łączą poemat Goszczyńskiego węzły daleko silniejsze, bo widoczne są one nawet w treści i obrazowaniu. Jak tam, widzimy w Zamku Kaniowskim miłość kochanków, która doznaje przeszkody. Wacław jedzie na Tatarów, aby posiąść na zawsze ulubioną, Nebaba na własną rękę urządza wyprawę, aby wydrzeć Orlikę z rąk znienawidzonego Lacha.

Jeden i drugi nie dochodzą do celu: Wacław puszcza się w świat z duszą zatrutą, Nebaba kończy na palu. Całe obrazowanie, a zwłaszcza tam, gdzie Goszczyński posługuje się porównaniami i abstrakcyami, przypomina aż do złudzenia język i środki poetyckie Malczewskiego. Nareszcie cały szereg szczegółowych opisów da się bez przesady w obu poematach zestawić; dość porównać Zamku Kaniowskiego niektóre wyrażenia w pieśni I. 18, a Maryi II. 17.; Z. k. I. 25, a M. I. 12.; Z. k. II. 10, a M. II. 4 i 6; Z. k. II. 17, a M. II. 8 i 9 smutek Orliki II. 12, a żałość Maryi itd. A jednak jakże odmiennym jest duch jednego i drugiego utworu. Stało się to przedewszystkiem wskutek odmiennych wyobrażeń życiowych i odmiennego tła historycznego, jakiego użyli obaj poeci, a które u Goszczyńskiego wyolbrzymiało do rozmiarów krwawego rapsodu narodowego, pozostawiając na drugim planie, inaczej niż w Maryi, same role kochanków i ich miłosne zawody.

Układ i treść poematu.

Poemat pisany jest wierszem jednastozgłoskowym i składa się z trzech części. Pierwsza część obejmuje dwadzieścia pięć ustępów, druga dwadzieścia, a trzecia trzydzieści. Sposobem Byrona i Malczewskiego przeprowadza poeta wątek opowiadania zagadkowo i tajemniczo; czcząc pomysł Goszczyńskiego, nie ośmieliliśmy się podawać treści w porządku chronologicznym, lecz poszliśmy ściśle za osnową oryginału.

Część pierwsza. Wyniosłe wieże zamku kaniowskiego odcinają się z oddali na tle wietrznej nocy jesiennej. Na wzgórzu zamkowem szyldwach pilnuje wisielca, ale usłyszawszy znajomy śpiew kochanki porzuca straż i idzie na schadzkę. Na wieży zamkowej rozkochane puszczyki wyśmiewają szyldwacha, którego czart uwodzi pod różnemi postaciami, a nareszcie zawisa na szubienicy i udaje ukradzionego wisielca. Nieostrożnego kozaka czeka za to śmierć. Tej samej nocy przy murach zamku kozak Nebaba rozmawia z ukochaną Orliką. Dziewczyna opowiada o pokusach pana, który chce ją poślubić, a Nebaba wyznacza kochance schadzkę na jutrzejszy wieczór i odchodząc zaklina ją, aby pozostała mu wierną. Nazajutrz wieczorem pod lipami nad Dnieprem kozacy i dziewczęta bawią się na wieczornicy. Tymczasem sza-

lona Ksenia, dawna kochanka Nebaby, przebiega obok zebranych z okrzykiem: ho-hop, Nebabo! Pojawienie się nieszczęśliwej uchodzi za przepowiednię grożącego nieszczęścia. Kozacy, zebrani na wieczornicy, oczekują przebycia atamana Nebaby, a on w tej chwili w ustronnym jarze wygląda Orliki, która miała przybyć na umówioną pogadankę. Zamiast Orliki usłyszał w pobliżu nawoływania szalonej Kseni. — Tego samego wieczora na zamku odbył się ślub rządcy z Orliką. Doniósł o tem Nebabie zamkowy chłopiec i powiedział, że Orlika długo nie chciała się zgodzić, ale dla jakiejś konieczności musiała się poddać srogiemu żądaniu. Wściekły z gniewu i rozpaczy, Nebaba puścił się nad Dniepr, napotkaną po drodze Ksenię ugodził pięścią w skronie, poczem w największej cichości przeprawił się przez rzekę, zaprzysięgając zemstę krzywdzicielowi i niewiernej, jak sądził, kochance.

Część druga. Rządcę Kaniowa z słodkiego spoczynku wyrywa goniec od straży granicznej, który donosi, że stary Szwaczka dąży z czernią na zamek kaniowski. Rządca wyjeżdża spiesznie do pana starosty z prośbą o pomoc. Doniesienie było prawdziwem. Nad brzegami Rosi Szwaczka rozłożył się obozem. W pobliżu starego dębu przy płonącem ognisku siedzi dwóch ludzi w atamańskim stroju: jeden młody, burką wpół opięty, głaszcze głownię noża, — to Nebaba, drugi stary, lecz z młodym na twarzy rumieńcem, — to Szwaczka, znany na Siczy rozbójnik i lackiej dumy wróg nieprzejednany. Szwaczka pije na umor i wyśmiewa Nebabę, opowiadającego o swojej krzywdzie i miłości. Wtedy młody kozak, dyszący żądzą zemsty, udaje, że nie dba tak bardzo o dziewczynę i powiada, że jednak ze względu na bliskość zimy należy napad na zamek przyspieszyć. Pijany Szwaczka zasypia, a wtedy Nebaba dosiada konia i niezadługo odjeżdża z watahą starego atamana, którą uwiódł za sobą podżeganiem do zemsty i obietnicą hojnych zdobyczy. — Tymczasem w Kaniowie, na zamku i w mieście, zapanowała trwoga. Ludność, przerażona wieścią o nadciągającej czerni, modliła się do Boga o zmiłowanie. — Młoda żona rządcy jest dzisiaj dziwnie zasępiona i roztargniona i zagląda do okna, jakby oczekiwała jakiejś wiadomości. Wtem zadźwięczały łańcuchy zwodzonego mostu. To rządca powrócił od pana starosty i przywiózł wiadomość, że Gonta został już pobity i odsiecz rychło nadciągnie. Po chwili przybywa nowy goniec, który donosi, że obóz Szwaczki

zniknął gdzieś bez śladu. Uspokojony rządca udał się na spoczynek, ale zasnąć nie może, jakgdyby w przeczuciu grożącego niebezpieczeństwa. Gdy nareszcie zasnął, morduje go go nożem Orlika. Niezadługo Szwaczka wpada z czernią do zamku. Przebudzony pijanica, gdy ujrzał się opuszczonym, nie stracił fantazyi, podążył do Kaniowa, podburzył tam część pospólstwa i uprzedził Nebabę w napadzie na zamek. — Gdy hajdamacy wpadli na pokoje rządcy, ujrzeli szaloną niewiastę w skrwawionej koszuli, która na widok czerni chroni się ucieczką. Zabobonni kozacy zatrzymali się w trwodze, a za wymykającą się na wieżę „dyablicą“ pospieszył nieustraszony Szwaczka z nożem doświadczonym.

Część trzecia. Tymczasem Nebaba, uprowadziwszy kozaków Szwaczki, rozpuścił ich po puszczy i kazał czekać na hasło wieczorne, kiedy będzie najsposobniejsza pora do napadu na zamek. Sam zaś położył się pod rozłożystym dębem i zasnął, ale spał bardzo niespokojnie, dręczony przez przykre marzenia. Gdy się obudził, ujrzał opodal sędziwego ślepca. Nebaba począł go podejrzywać, ale sędziwy lirnik dobrze odegrał swoją rolę a nawet wyśpiewał atamanowi powieść o dzielnym kozaku i uwiedzionej dziewczynie. Opuszczona szalała, błądziła po lasach i w dzikich pieśniach przyzywała kochanka. Gdy Nebaba zrozumiał, że powieść o nim opowiada, chwycił starca za ramię i zagroził mu śmiercią, jeżeli jeszcze raz powtórzy okrzyk dziewczyny: ho-hop! Wtem zarżał koń jego wrony, do którego ataman pospieszył. Z oddali usłyszał jeszcze raz okrzyk: ho-hop, lecz gdy nadjechał w tę stronę, nie znalazł ani śladu po ślepym lirniku. Wściekły z gniewu wydrapał się na dąb i śledził okiem po całej okolicy. Lecz ślepca nigdzie nie było. Gdy tak z wysokości dębu poglądał Nebaba na okolicę, sercem jego owładnęły najdziwniejsze uczucia. Przypomniała mu się młodość, a w duszy obudziły się nieukojone jakieś tęsknoty. Lecz już był wieczór, więc ataman spuścił się z dębu i dał hasło kozakom. Jak z pod ziemi zbiegli się mołojcy i otoczyli atamana. W tej samej chwili łuna zajaśniała nad Kaniowem. Po drodze przyłączyli się do Nebaby jacyś dwaj jeźdźcy, którzy podali się za niedobitków Gonty. Jeden z nich podjął się poprowadzić kozaków najkrótszą drogą na zamek. Lecz po chwili jeźdźcy zbiegli, a Nebaba ujrzał się otoczonym przez wojsko polskie. Dzielny kozak umiał wnet nad niebezpieczeństwem zapanować,

a widząc gorejący w pobliżu zamek i spodziewając się rychłej pomocy rozpoczął bój zapamiętały. Wtem do uszu Nebaby doleciał okrzyk Kseni: ho-hop! Nebabo! Kozacy bili się rozpaczliwie, lecz musieli uledz przemocy. Jeden tylko Nebaba walczył niestrwożony. Wtem któryś z Lachów podjechał ku niemu i zdawało się, że zaczął pojedynek. Gdy Nebaba wytrącił mu szablę z dłoni, Lach puścił się z kopyta, a za nim ataman. Nagle Lach odwrócił się i palnął z pistoletu, raniąc w twarz Nebabę. Zalany krwią, ujrzał przecież Ksenię, która znalazła się nagle obok jego konia. Ugodził ją nożem i upadł omdlały na ręce żołnierza. Kaniów spłonął, ale hajdamacy zostali zgnieceni. Szwaczka zginął z Orliką w spalonej wieży, raniony Nebaba i ocaleni jego towarzysze skończyli w strasznych męczarniach, wbici na pale u podnóża zamku. Konającego na palu Nebabę całuje po raz ostatni szalona Ksenia, odgrzebana przez drapieżne ptactwo, a zbliżywszy się do niego z nawpół wysnutemi wnętrznościami. — Na końcu objaśnia poeta zbrodnię Orliki. Gdy wisielca z szubienicy ukradziono, wtedy na straży stał brat dziewczyny. Według zwyczaju groziła mu śmierć. Chcąc brata uratować, Orlika została rządczynią, a nie mogąc zapomnieć o pierwszej miłości, zabiła męża i siebie zgubiła.

Charakterystyka osób.

W ocenie Zamku Kaniowskiego zapisuje Goszczyński o występujących postaciach następujące słowa: „charaktery, jakkolwiek zdają się nieludzkie, zręcznie wysnute, dobrze oddane i utrzymane ciągle.“ Na słowa te można się zgodzić, jeżeli wolno mówić o charakterze nieświadomych swych czynów zbrodniarzy. Jakiś demonizm najohydniejszego występku przenika rubaszne cielska przedstawionych przez Goszczyńskiego postaci, w których dusza jeszcze się nie obudziła, a rozhukane instykty znają tylko pożądanie i zemstę, mord i potworne używanie. Najgłówniejsze stosunkowo role przypadają jedynej chyba w literaturze świata tego rodzaju parze kochanków: Nebabie i Orlice.

Nebaba (I: 4, 6, 13, 14, 18, 20, 22, 23, 24, 25. II: 5, 7, 8, 9, 10. III: 3, 4, 5, 6, 7, 8, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 19, 22, 24, 25, 26) jest atamanem nadwornych ko-

zaków na zamku kaniowskim. Powierzchowność jego jest nad wyraz ujmującą dla dziewcząt ukraińskich. Twarz jego zdobią różowe usta i czarny wąsik; oko jego odbija od brwi ciemnych, jak blask południa od cienia północy. Odziewa się w burkę, która na wysmukłej postaci wydaje się jak rozdęty żagiel na maszcie wyniosłym. Szczęśliwą jest dziewczyna, którą uściśnie, a jeszcze szczęśliwszą, którą pokocha. Karany za śmiałość całusem, nie ukrywał miłosnych popędów na wieczornicach, wyznaczał zakochanym schadzki pod murami zamku i w ustronnych jarach. Obłąkaną Ksenię uwiódł, a gdy stała się natrętną, wrzucił ją do Dniepru. Nareszcie całym ogniem pokochał Orlikę, ale w rządcy zamku znalazł przeważnego współzawodnika. Nebaba jest aż do zapomnienia zazdrosnym, więc biada temu, kto da powód zazdrości. Hardy przed panem, umie jednak być chytrym i mściwym, a w zemście swojej twardym jest jak żelazo. Gdy rządca zamku zniewolił Orlikę podstępem, aby została jego żoną, Nebaba żyje cały zemstą. Ale potrafi się z nią ukrywać. Mami Szwaczkę, że bliskość zimy nakazuje szybki napad na zamek, uwodzi jego kozaków, przypominając krzywdy, wyrządzane przez panów, podżegając do zemsty i budząc chciwość, choć celem jego działania jest wyłącznie zemsta osobista. Nic nie zdoła zatrzeć w nim widzenia nocy, którą Orlika spędziła pod adamaszkiem w jednej z mężem swoim komnacie. A jednak dziwna rzecz! Na szczycie dębu zdaje się budzić u niego dusza, ogarnia go jakaś nieukojona tęsknota. Ale może to tylko skutek niedawnych widzeń sennnych, może to tylko niepokój, czy się dzieło zemsty powiedzie. Gdy znalazł się znowu pośród mołojców, konieczność działania nie pozwalała na wycofanie się ani na dalsze rozmyślania. Nie możemy mu przebaczyć, że już po tych przebłyskach duchowych na dębie pozostał wobec Kseni nieubłaganym prześladowcą. Może dopiero na palu dokończył się proces przebudzenia, ale niewiele o tem sądzić możemy, bo nie widzimy już czynów, ale tylko wyraz twarzy. Nie mogło Nebabie zbywać na dzielności osobistej, bo bez niej nie byłby zdołał porwać się na dzieło zemsty. W ostatnim boju walczy jak lew, lecz i wtedy czynić inaczej nie może, bo wie o tem dobrze, że zwyciężony musi skończyć na palu. Jeżeli pamiętamy o tem, że Nebaba jest kozakiem, nie możemy się dziwić, że był takim, a nie innym. Jako mołojec kozacki przedstawiony jest przez poetę w sposób

bardzo wierny i ze względu na typ, jaki przedstawia, wydaje się najlepiej uchwyconym w naszej literaturze. Być może, że poeta chciał uwydatnić jakieś ślady dobrych popędów u Nebaby, lecz nie przeprowadził tego dość należycie; i dlatego postać jego może zająć i wzruszyć, jako obraz szalejącego żywiołu, lecz nigdy jako dusza człowieka.

Orlika (I: 4, 6, 17. II: 12, 15, 16, 19, 20. III: 20, 29) wydaje się być godną Nebaby kochanką. Była bezwątpienia hożą dziewczyną, skoro przywabiła serce najurodziwszego kozaka, a nawet w rządcy zamku najgorętsze obudziła zapały. Na ustronnych schadzkach z Nebabą oddaje mu szczęśliwa pocałunki płonącej miłości. Rządca nęci ją przepychem przyszłego szczęścia, jeżeli zechce zostać jego małżonką. Nie pomogły przekonywania, poradził podstęp. Chcąc uratować brata od niechybnej śmierci, Orlika długo naprzód szlochała, a nakoniec zgodziła się na twardą wolę. Ten rys poświęcenia czyni ją na chwilę sympatyczną, lecz brakło jej duszy, aby wytrwać w ofierze i przetrzymać zaprzysiężone obowiązki. Nie zdołała wydrzeć z serca gwałtownej miłości i w nowem położeniu szuka drogi, aby znowu połączyć się z jedynym kochankiem. Jakiś smutek owłada całą jej istotą, lecz smutek ten zapłodniło piekło. Nie mogła ścierpieć dalszych pieszczot rządcy, zamordowała go zdradziecko, a sama popadła w obłąkanie, gdyż namiętność została nieukróconą, a nasycenie jej stawało się niepodobieństwem. Obłąkaną napadli hajdamacy, a w ucieczce przed nimi schroniła się na wieżę zamkową, gdzie wraz z prześladowcami zginęła w gorejących zwaliskach zamczyska. W Orlice widzimy uosobienie niewstrzymanej namiętności, która nawet w obłąkaniu nie zapomina o krzywdzie, popełnionej na jej najserdeczniejszych pożądaniach. Jest i ona bezsprzecznie typem mołodyć kozackich, które nie uznają przeszkód w drodze do zaspokojenia namiętności, a nawet szaleństwo nieszczęśliwej zdaje się pochodzić z wzburzonej krwi, a nie z udręczonego ofiarą sumienia ani z cierpień duchowych.

Szwaczka (II: 6, 7, 18, 19, 20. III: 20) jest przedstawiony z dokładnością, która żadnych nie nasuwa wątpliwości. Jeżeli Nebaba uchodzić może za typ mołojca kozaka, Szwaczka jest typem hajdamaki. Chytry zbój, pijak i lubieżny rozpustnik jest uosobieniem złoczyńcy, w którym nigdy nawet słabem światłem kaganka nie zatliło się życie duchowe. Powierzchowność jego odpowiada zupełnie objawom zwyrodniałych

instynktów. Twarz ma rumianą i oko ogniste, choć skronie pobieliła siwizna. Przez połowę twarzy biegnie czarna blizna, która świadczy o zajęciach hajdamaki. Pije na zabój, a haniebny nałóg rodzi w nim tę lubieżność, która pragnie zaspokojenia w objęciach szalonej morderczyni. Potwór ten w ludzkiem ciele ginie szlachetniej, niż na to zasłużył, bo w pożarze zamczyska, który przecież i tyle ofiar niewinnych ogarnął. Człowiek, który mimo całej swej zabobonności nie zna żadnych innych uczuć oprócz pragnienia mordu i zwierzęcego używania, jest Szwaczka kreacyą, którą poeta w ohydnej jej prawdzie z niezamąconą odtworzył konsekwencyą.

Ksenia (I: 11, 15, 23. III: 5 22, 25, 27) byłaby aż do niezrozumienia potworną, gdyby nie była obłąkaną. Już wtedy, gdy oczekiwała „latawca", była niespełna rozumu, a uwiedziona przez Nebabę żyje jedynie pożądaniem lubieżnej jego pieszczoty. Chuda jak szkielet, o dzikiem spojrzeniu, z strzępami łachmanów na grzbiecie, z wywiędłymi kwiatami i wypłowiałemi wstęgami w skołtunionych włosach, przebiega okolice z okrzykiem: ho-hop, Nebabo!— i straszy ludzi, gdziekolwiek się pojawi. Zraniona w skronie, szuka dalej Nebaby, przebita potem nożem nie może jeszcze o nim zapomnieć, aż nareszcie na zwaliskach Kaniowa dopada ust ulubionego i ginie przy nim szczęśliwa z rozprutemi wnętrznościami. W postaciowaniu Kseni połączył poeta zabobon ludowy z hyperromatyczną fantazyą, ale mimo tego a raczej skutkiem tego zjawisko Kseni jest przerażającem aż do okropności.

Rządca (I: 6, 17. II: 2, 15, 16), sylwetkowo naszkicowany, pomnaża galeryę, godną wymienionych już typów. Dumny panek, nie mogąc inaczej zjednać Orliki, użył podstępu, aby żądzy swojej dogodzić. Dopiąwszy celu, śpi z urodziwą mołodycią na miękkich adamaszkach w bogatej komnacie. Z błogiego spokoju wyrywają go wieści o zbliżającej się czerni. Rządca nie zdaje z tego sprawy, że i chłopi są ludźmi, uważa ich za dzicz, która za nieposłuszeństwo powinna zginąć na ohydnym palu. Gdy już sądził, że w leniwej gnuśności będzie mógł w dalszym ciągu używać pieszczot nadobnej małżonki i batem sprawować rządy nad chłopami, ginie we śnie, zamordowany przez Orlikę. Nietylko do czerni, ale i do niego z tąsamą słusznością odnoszą się końcowe słowa poety: „znów tenże pokój i zbrodnie tesame!"— o ile chcieliśmy je zastosować do stosunków, poprzedzających zdarzenia Zamku Kaniowskiego.

Inne osoby, jak: szyldwach i jego kochanka, fałszywy lirnik, dwaj fałszywi kozacy, chłopiec teorbanista i zdradziecki Lach w pojedynku z Nebabą, zaznaczone są zaledwie w najogólniejszych konturach, lecz i u nich napróżno szukalibyśmy jakichś objawów dobrego. Tak może także przedstawiała się pierwotna horda ludzka, zanim ujawniły się w niej wyższe przebłyski życia psychicznego.

Ocena estetyczna.

„Powieść Goszczyńskiego p. t. „Zamek Kaniowski“ — pisze o niej sam autor — ogarnęła tyle okropności, że jak na Madejowe łoże możnaby myśl na nią położyć. Gwałt dziewicy, uwiedzenie dziewicy, zemsta, morderstwa wszelkiego rodzaju, okropność bitwy, pożar z całym niszczącym przepychem, szlachcic polski ze zbrodniami tyrana, pieszczoty śmierciowróżbne puszczyków, jeden wisielec, dwie waryatki, jedna banda mordująca Polaków, druga banda karząca niby tych morderców, potoki krwi, szatanów bez liku itp. — oto są wybitniejsze punkta osnowy Kaniowskiego zamku, powieści prawdziwie oryginalnej pod tym względem, trudnej pod tym względem do dorównania. Gdyby jej wiersze mogły kiedy przybrać widome dla oczu ludzkich postacie, to oczy w słup by stanęły przed tym chorowodem poczwar, z których każda napiętnowana zbrodnią albo karą za zbrodnie... Obok tych wad, które jednak nie są bez podstawy w historycznym kozaków i owej epoki duchu, znajdzie się prawda w malowidle uczuć i miejscowej przyrody, a nie w jednem miejscu życie rzeczywiste i siła nienadsztukowana... Zaiste nie można Goszczyńskiego winić o brak całości w jego poemacie, raczej o wybór pierwszej głównej myśli, która po okropnościach jednej zbrodni wprowadziła go na szczyt ich ogółu... Język powieści odpowiada jej duszy: dziki, nieokrzesany, zaniedbany jakby naumyślnie, prawdziwy przeciwstopnik stylu Zaleskiego i słusznie zasługujący na oburzenie się literackich naszych purystów.“ Na ten sąd poety można się zgodzić bez wielkich zastrzeżeń, a tylko uzupełnić go pod niejednym względem. Mochnacki (O literaturze polskiej w w. XIX.) wiedział dobrze o tych właściwościach Zamku Kaniowskiego, a jednak przyznał autorowi „rozległe pojęcie i ten rozmysł artystowski (!), tę bujną płonącą, ognistą fantazyę, która go stawia w równej mierze z Mickiewiczem i Zaleskim“ (w utworach, wydanych przed

r. 1830.) „Żadną miarą — mówi dalej — tej hajdamackiej czerni z literatury polskiej (jak niegdyś z społeczeństwa podnioślejszem zapewne sercem niż mądrą polityką) wypłaszać nie powinniśmy. To nieodrodne plemię dzikich stepów potrzebne zdaje się naszej poezyi, jak przedtem w usługach rzeczypospolitej odganiało od dziadów naszych postrach tatarskich i nogajskich najazdów.“ Spasowicz pisze: „zalety artystyczne Zamku Kaniowskiego są wybitne; lecz ważniejsza jest jeszcze wartość jego plemienno-społeczna; wzięto bowiem za przedmiot poematu zdarzenie dziejowe, niedawne, dla Polaka nader smutne, a przedstawiono z uderzającą bezstronnością i tak głębokiem, spokojnem pojmowaniem fatalnego charakteru krwawej rzezi, że go poecie pozazdrościć może historyk. W kilka lat później tosamo wydarzenie poetyzował epigon krwawych bohaterów, Szewczenko; lecz opowieść jego o sławie kozaczej... przedstawia mniemaną idealizacyą zwierzęcej wściekłości i nieludzkości, wprost przeciwnej temu, co rozumiemy pod bohaterstwem. Gdyby nie język, trudno byłoby się dowiedzieć, po czyjej stronie jest współczucie Goszczyńskiego. Przeciwieństwa już się dla poety zrównoważyły: szlachetczyzna i kozactwo pogodziły się w krainie cieniów, — a na mogile przygrywa pieśniarz na metalowych strunach swej liry, przepowiadając ludom bardziej humanitarną przyszłość.“

Na przeciwnym biegunie stoi Cybulski (Odczyty o poezyi polskiej) i prof. Tarnowski (Historya literatury polskiej, IV.) Pierwszy pisze: „może sobie Mochnacki zadawać pracę i dowodzić całości poematu, może podnosić szczegółowe sceny, ich świeżą dramatyczną akcyą, może chwalić dziki, śmiały, zuchwały charakter Nebaby; wszystko to być może, jednakże my w tej całości nie widzimy żadnej wyższej idei, żadnej właściwej wojny, żadnych walczących uprawnionych potęg, tylko szkaradny występek, łamanie przysięgi, rabunek, pożar, okrucieństwo, zabobon, które z poezyi usunięte być powinny.“ Prof. Tarnowski przyznaje, że poeta wpadł na dobry pomysł, ale go dobrze wykonać nie umiał, źle swój poemat zbudował i okazał brak zmysłu estetycznego, który się objawia nadmiarem i przesadą w okropnościach. Nie przyznaje dalej poecie żadnych zalet ani w opisach natury, ani w energii, z jaką mają być nakreślone niektóre sceny lub figury; energię widzi tylko w zamiarze poety, nie w wykonaniu.

Niełatwo pogodzić się z przeciwnikami Goszczyńskiego, jeżeli zwłaszcza przypomniemy sobie, że wielki Mickiewicz właśnie z powodu Zamku Kaniowskiego mówił o tonie rosyjskim (nie wiem, czy słusznie) ich autora, a Słowacki pozostawał pod wpływem Goszczyńskiego w swoim Księdzu Marku i Śnie Salomei. Gdzie tacy poeci dostrzegli poezyę, musi tam być ona rzeczywiście i to w niemałej sile. Gdybyśmy chcieli przyjąć ryczałtowe potępienie Cybulskiego, w takim razie nie ostałaby się dla poezyi przeważna część Iliady, nie utrzymałyby się Nibelungi, wielbione w swoim czasie Pieśni Ossyana, ani nawet wielka Mahabharata. Wszak i tam patrzymy przeważnie nie na dusze ludzkie, lecz na olbrzymie cielska, chytre i mściwe, rozbijające sobie wzajemnie dla przyjemności nierozjaśnione żadną lepszą myślą czerepy. Nie szukajmy także z prof. Tarnowskim przyzwoitej pary kochanków, bo nie myślał o tem poeta, a wtedy ujrzymy w poemacie Goszczyńskiego istotne i niemałe zalety. Zdaniem naszem Zamek Kaniowski jest krwawym rapsodem narodowym, gdzie bohaterami nie są poszczególni ludzie i nie o ich chce pisać poeta przygodach, lecz gdzie na pierwszy plan wysuwa się wiekowa waśń społeczna, dzieląca równocześnie dwa wielkie i bratnie plemiona. Z jednej strony widzimy chęć gnuśnego używania dostatków i pragnienie zachowania przywilejów, z drugiej ciemny i rozhukany w zabobonach żywioł, który roi o jakiejś nieokiełznanej swobodzie. Gdzie takie interesy stanęły w kolizyi, tam musiała wybuchnąć nieprzejednana walka, potworna w swej dzikości, przeraźliwa jak rzeź humańska i osłupiająca jak krwawe epizody Zamku Kaniowskiego. Co było w życiu, jeśli było, ma prawo pozostać w poezyi. Jeżeli poeta postacie swoje pozbawił prawie zupełnie pierwiastku duchowego i uczynił je straszliwemi widziadłami, unoszonemi ślepo na szponach instynktu i fatalizmu, spotęgował przez to siłę swojego obrazu i z zwykłej powieści zrobił prawie epos, zrobił co najmniej jedyny w swoim rodzaju, historyi naszej tak dobrze niestety znajomy, może nieco drastyczny i jednostronny, ale mimo to w ogólnem swojem ujęciu prawdziwy rapsod ukraiński.

Czy do wykonania wielkiego swego pomysłu posiadał poeta potrzebne zdolności artystyczne? Tak. Miał bogatą wyobraźnię, która przy pomocy dokładnej obserwacyi, reminiscencyi z lektury i wmyślenia się w przedmiot opowiadania umiała rzecz całą ożywić i wywołać silne nieraz efekty.

Zwłaszcza opisy przyrody uderzają nas bezpośredniością odczucia, a z prawdziwą siłą umie odtwarzać urok i tajemniczość nocy; Spasowicz zwraca nie bez słuszności uwagę na jego iście Rembrandtowskie zdolności kolorystyczne w malowaniu ognistych blasków wśród ciemności nocy. Jeżeli zaś nakreślonym przez poetę postaciom brak wyżyny duchowej, jest to wina przedstawionych typów, a nie ich autora. Nie można także nie zaznaczyć, że Goszczyński wczuł się w temat swej powieści, a chociaż w opowiadaniu okazał wzorowe umiarkowanie epika, tajony ból poety przenika nas do głębi i budzi w naszej duszy tesame zapewne refleksye, które ogarniały przy pisaniu serce ich twórcy. Część prawdy czytamy w następujących słowach pewnego autora (W. Zawadzki: S. G. studyum literacko-krytyczne): „w Zamku Kaniowskim zamierzył poeta przedstawić jakby przestrogę przyszłości, krwawemi spisaną głoskami, przemówić Kasandry głosem w obronie polepszenia doli ludu ukraińskiego.“ Dzisiaj te słowa są już może anachronizmem, ale był czas, kiedy były prawdziwe i to w odniesieniu do ludu całej Polski.

Aby udowodnić, że myśl taką nie bez podstawy przypisujemy Goszczyńskiemu, dość przytoczyć owe groźne słowa Zamku Kaniowskiego:

„Syny mej ziemi, o rodacy mili!
Wy szczerej wiary nie dacie poecie
I sami pojrzeć na przyszłość nie chcecie,
Na ucztę długo tłumionej swobody.
Wasi dziadowie widzieli te gody!
Dwory ich były smutnymi świadkami,
Ach, zapomnianej zbyt prędko igraszki!
Kiedy ze stalą, jak z zemsty wachlami,
Krew żywej piersi lano w trupie czaszki
I każdą łezkę, na pana wylaną,
Jej dymiącemi kroplami spłacano!“

O formie poematu można także wiele dobrego powiedzieć. Razi wprawdzie niekiedy niedomaganiami rytmiki i przesadą wielkich słów, gdy mowa o zbrodni, a wina w tem wpływu Maryi Malczewskiego, na której, mojem zdaniem, język swój w wysokim stopniu Goszczyński urabiał. U Malczewskiego

słowa te posiadają wysoką miarę i wartość, niema u niego zwrotów niepotrzebnych, a wielkie słowa stoją w zgodzie z szlachetnemi uczuciami Miecznika i Maryi i z ich strasznemi nieszczęściami. Goszczyński dobrego obrał mistrza, a zawinił w tem, że o wielkich zbrodniach wielkimi chciał opowiadać słowami. Na korzyść jednak poety trzeba zauważyć, że mimo wszystko, ogólnie biorąc zgrzytliwy i twardy język poematu pozostał w zgodzie z jego treścią, a nie zbywa mu na jaskrawej nieraz jasności i dobitnej mocy wyrażenia. Nie możemy również zarzucić poecie nadużycia prowincyonalizmów, gdyż użyte przez niego tego rodzaju wyrażenia weszły w skład języka literackiego, a więc dobrze były wybrane. — Kompozycya razi pewną niejasnością, lecz nigdy do tego stopnia, aby treść była niezrozumiałą. Zresztą panowała naówczas moda byronizmu, a pozornie niejasny tok opowiadania u Goszczyńskiego bardziej niż u kogo innego wywoływał pożądane wrażenie. Dzisiaj najnowsza literatura europejska przyzwyczaiła nasz umysł do takich skoków myślowych i łamigłówek, że wobec nich wątek Zamku Kaniowskiego wydaje się nam aż zanadto jasnym i zrozumiałym. Najcięższy zarzut stawiano III. części poematu, jakoby tam rozwlekłość i mglistość opisów osłabiała do reszty wrażenie całości. Nie umieliśmy się tego dopatrzyć, ale podaliśmy ten szczegół dla wierności sprawozdawczej.

Nakoniec wspomniemy, że zarzucano poematowi „brak tonów minorowych, które w poezyi ukraińskiej tak znaczną odgrywają rolę,... brak owej szerokiej zadumy stepowej, owego teorbanowego podźwięku.“ Na tej podstawie powtarzano za Mickiewiczem, że Goszczyński, przedstawiciel siły, charakterem swojej poezyi jest bardziej rosyjski niż Puszkin. Uwaga ta jest tylko w małej części prawdziwą, a wyrażenie Mickiewicza, które ma wielką poetyczną wartość, mówi jedynie o „tonie“ poety, lecz nie ogranicza ukraińskości na stepowe wyłącznie zadumy i teorbanowe podźwięki.

Jak tedy wypadnie ogólny sąd o wartości artystycznej Zamku Kaniowskiego. Zdaniem naszem zarówno ze względu na pomysł i galeryę przedstawionych postaci, jak i na formę, poemat Goszczyńskiego zajmuje wysokie stanowisko w szeregu arcydzieł poezyi romantycznej. Ze względu na formę i wdzięk opowiadania ustępuje on Maryi i powieściom Mickiewicza, pomysłem natomiast przerasta Grażynę i Maryę. Wypełnił on

smutne echo bolesnej przeszłości i stanął zakrwawiony i odosobniony, lecz potrzebny naszej literaturze, jako prowincyonalny rapsod narodowy, wzruszający silnie w swej grozie i przestrodze. A jeżeli z poezyi przejdziemy do życia, ujrzymy, że poemat Goszczyńskiego pod wielu względami nie stracił do dzisiaj nawet na swojej aktualności. Kto tak głęboko wniknął w przeszłość narodową, że przewidział i przyszłość i umie wzruszyć pokolenia potomnych, ten gorące musiał posiadać serce i był niepoślednim poetą. —

Źródła:

Tekst niniejszy oparliśmy na wydaniu warszawskiem z roku 1828., uwzględniając jednakże wszystkie wydania następne. Różnice tekstu uwidoczniliśmy w przypiskach.

Mochnacki Maurycy: O literaturze polskiej w w. XIX. (Warszawa, 1830.)
Goszczyński Seweryn: Nowa epoka poezyi polskiej (Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności, Kraków, 1835.)
Grabowski Michał: Literatura i krytyka (Wilno, 1837—38.)
Widman Karol: Seweryn Goszczyński, zarys biograficzny (Strzecha, Lwów 1872.)
Świętochowski Aleksander: S. Goszczyński, szkic biograficzno-literacki (Opiekun domowy, Warszawa 1871.)
Zawadzki Władysław: S. Goszczyński, studyum literacko-krytyczne (Ruch literacki, Lwów 1875.)
Giller Agaton: S. Goszczyński, szkic biograficzny (Sobótka, Lwów 2875.)
Wasilewski Zygmunt: Narodziny poety-romantyka (Ateneum, Warszawa 1895.)
Zdziarski S.: Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej, (Warszawa 1901.)
Kąsinowski Bronisław: Seweryn Goszczyński (Gazeta lwowska, Nr. 279 i 280 za r. 1903).

Ponadto zużytkowaliśmy: Odczyty o poezyi polskiej Cybulskiego, Amerykankę w Polsce Tyszyńskiego, Historyę literatury polskiej: Chmielowskiego, Tarnowskiego, Spasowicza, i Mazanowskich, Literaturę słowiańską Mickiewicza i nekrologi, poświęcone Goszczyńskiemu w czasopismach polskich z r. 1876.

KILKA SŁÓW

o Ukrainie i rzezi humańskiej.

(Przedmowa poety do wydania z r. 1838.)

Jeden z celniejszych naszych poetów miał wyrzec o Kaniowskim Zamku, że jest pełen kozackiej haraburdy, i tem go potępił. Nie dziwię się, jego zdaniu, wiedząc, że nie zna Ukrainy; ale dziwię się, patrząc na jego własne godło: *kto chce zrozumieć poetę, powinien kraj jego poznać.* Powyższy zarzut i tym podobne spowodowały mię obeznać cokolwiek publiczność z ludem, który dostarczył bohaterów mojej powieści, tudzież z wypadkami, których ona jest ustępem, a przeto zostać zrozumialszym.

Jak charakter człowieka poznajemy z jego czynów, tak charakter narodu maluje się w jego dziejach. Przebiegnę więc w krótkości wiadome życie kozackiego ludu, a rys ziemi, na której mieszka, będzie tłem obrazu.

Zajmę się głównie tak zwaną polską Ukrainą; tą częścią ziemi, którą od wschodu Dniepr oblewa, Boh od zachodu, od północy Wołyń, a od południa chersońskie stepy otaczają.

Powierzchnia kilkudziesięciu mil Ukrainy mieści w sobie najmilszą rozmaitość. Lasy i jary płaszczyzn, składających większą część tej prowincyi od strony Bohu; skały nadbrzeżne z granitów, jak w okolicach Humania, Bohusławia i Korsunia; sosnowe bory, lesiste wzgórza, całe rzeki w bagnach, jak między Mosznami i Smiłą,

okazałe gromady wód Bohu, Dniepru, licznych stawów i kilku jezior, zaczynające się morze stepów; jednem słowem: piaski i najżyźniejsze w świecie łany, najprzejrzystsze wody i bagna niedostępne, wesołe laski i odwieczne puszcze, ciche doliny i olbrzymie wzgórza, bory nieschodzone i stepy nieprzejrzane. zgromadziły się tu, jakby na pojednawczą przyrody ucztę. Nie dziw, że taką krainę uważam za najpiękniejszą może w dawnej Polsce, nie dziw, że taka ziemia wpłynęła na swoich mieszkańców i wypiastowała naród, mogący stanąć między najdzielniejszymi, Dosyć słyszeć jego podania, jego dumy historyczne, dosyć obejrzeć pola, najeżone mogiłami, aby przystać na moje zdanie.

Za Stefana Batorego postrzegamy pierwszy ślad kozaków. Ognisko ich było przy dnieprowych porohach, mieszkanie na obronnych wyspach. Zwali się Zaporożcami, a to miejsce Siczą. Wchodzili do ich składu ludzie rozmaitego plemienia, a żyli dziwnym obyczajem. Nie cierpieli u siebie kobiet; polowanie, rybołowstwo, napady wodą i lądem na poblizkie okolice były ich zabawą i sposobem życia. Przezorny król polski wezwał tych ludzi do swojej służby, zawarował przywileje i nadał kilka miejsc warownych nad Dnieprem, ażeby zasłaniali granice Polski przeciw Moskalom i Tatarom. Za Zygmunta trzeciego słyną po całej Europie, już to pod atamanem Konaszewiczem, już jako Lisowczycy, walczący w Moskwie, a za sprawę rzymskiego cesarza w Niemczech Za tego też króla nietolerancya księży katolickich i nieludzkość panów dają im po raz pierwszy broń w rękę przeciw Polakom. Za Władysława czwartego wystąpił Chmielnicki, który pod Janem Kaźmierzem zatrząsł potęgą Polski. Kozackie państwo składało się wówczas z dzisiejszych gubernii: czernichowskiej, połtawskiej i charkowskiej za Dnieprem, na tej stronie Dniepru

posiadało teraźniejszą gubernię kijowską i część przyległą podolskiej. Hetman Chmielnicki poznał, co z tym ludem zrobić można i, łącząc dumne własne zamiary z jego niepodległością, rozpoczął śmiertelną walkę z Polakami. Pokonało go męstwo naszych ojców, ale nie umieli korzystać ze zwycięstwa. Kozacy rozdzielili się na dwoje. Większa część przyjęła opiekę Moskwy, druga przeddnieprzańska została niby przy Polsce. Jeżeli Polacy stracili na tem rozdwojeniu, to prawdziwie kozacy tylko cierpieli. Opieka Moskwy groziła im co chwila zupełną zagładą. Częste było chwianie się ich hetmanów między Polską a Moskwą; lecz nigdzie dobra nie znaleźli. Nareszcie zjawił się Mazepa. Nadzwyczajny ten człowiek zdolny był utworzyć naród potężny, gdyby kto losy mógł zwalczyć. Używszy we szwedzkiej wojnie przeciw Piotrowi pierwszemu jawnie i skrycie wszystkiego, co podstępy i waleczność podały, uległ z Karolem dwunastym szczęściu cara. Z nim zginęła samoistność kozackiego ludu i wszelkie jego nadzieje. Niektórzy z następców Mazepy widzieli jeszcze zbawienie w Polsce i kusili się ocalić kozaków odstąpieniem od Moskwy, ale jako zdrajcy pochwytani i potraceni. Powoli godność hetmana została czczym tytułem; mniemanemu hetmanowi kazano mieszkać w Petersburgu; nakoniec państwo kozackie podzielone na gubernie, a Siczowych czyli Zaporożców zapędzono w liczbie kilkudziesiąt tysięcy nad brzegi Czarnego Morza, gdzie dotąd stanowią obronną linię przeciw Czerkiesom. Zdaje się, że bunt polskich Ukraińców w r. 1768. był ostatnią konwulsyą konającego ciała kozaków. Dzieje tego zdarzenia, jako podstawy mojej powieści, są właściwie głównym przedmiotem niniejszej przemowy.

Było to w początkach panowania Stanisława Augusta. Polskę szarpał nierząd możnej ślachty[1]), intrygi

[1]) tak stale w wydaniu, w którem rzecz tę pomieszczono.

Czartoryskich i zewnętrznych dworów wpływy. Garstka prawych obywateli, czujących niedołężność króla i pewną pod nim zgubę kraju, utworzyła w zbawiennych zamiarach *Barską konfederacyę*. Ocknienie się Polaków zatrwożyło nieprzyjazną im politykę; przedsięwzięto więc wszelkie środki do stłumienia konfederacyi. Nienawiść ruskiego pospólstwa ku gnębiącym go panom i spólność wiary z pograniczną Moskwą dzielnie posłużyły do zamiaru przerażenia, a może i wytępienia polskiej ślachty przynajmniej w ruskich prowincyach, gdzie była największa konfederatów potęga.

W połowie r. 1768. przebył Dniepr w okolicy Czehryna z kilkunastu towarzyszami nieznany nikomu zaporoski kozak, nazwiskiem Żeliźniak; i zaraz w skutku porozumień się z popami ruskimi i pospólstwem odbyło się poświęcenie nożów przy nocnym obrzędzie w monasterze św. Motry, położonym samotnie śród gór i lasów nad Taśminą, w powiecie czehryńskim, o mil dwie od miasteczka Aleksandrówki, idąc na północ*). Niedaleko spomnionego klasztoru leży wieś Medwedówka, gdzie jarmark następował; było to w święto Makkaweja (Machabeusza). Tłum na taki dzień zebranego pospólstwa sprzyjał zamiarowi rozpoczęcia buntu. Z wozu tedy, śród rynku, pop ruski przeczytał zmyślony, jak mówią, ukaz imperatorowej Katarzyny, który, obiecując wiele dobrodziejstw ukraińskim chłopom, nakazywał im wyczyszczenie pszenicy z kąkolu, to jest wytępienie ślachty, księży i żydów; przedstawił następnie tenże pop Żeliźniaka, jako mianowanego przez imperatorowę księcia smilańskiego i pobłogosławił rozpoczęciu rzezi.

W mgnieniu oka wszystko rzuciło się do spis

*) Zdaje się, że nie w jednem miejscu noże poświęcano. Widziałem starą drewnianą kapliczkę, należącą do jednego monasteru w puszczy Łebedyńskiej niedaleko miasta Szpoły, gdzie podobną uroczystość odbyto.

i nożów, a wkrótce Ukraina cała, jakby czekała tylko hasła, zmieniła się w teatr niesłychanych mordów. Ówczesny stan i położenie wojska polskiego nie mogły przeszkodzić tak nagłemu szerzeniu się buntu; zjawienie się kilku wysłańców Żeliźniaka w najodleglejszych miejscach Ukrainy rozniecіło pożar dokoła; całe wsie szły na ich wezwanie. Polscy dziedzice nie byli także zdolni oprzeć się pojedynczem usiłowaniem; wszystko chroniło się lub za granicę Ukrainy, lub do Humania, a Żeliźniak z okrzykiem: *O! tak Lasze, po Słucz nasze!*“*) swobodnie posuwał się ku zachodowi i bez przeszkody pod Humaniem stanął.

Humań, dzisiejsze powiatowe miasto w gubernii kijowskiej, było w owym czasie przeciw niećwiczonemu wojsku miejscem dosyć warownem. Siła jego składała się z niewielu żołnierzy polskich, kilkudziesięciu pruskich, którzy tam za kupnem koni przybyli i kilkuset nadwornych kozaków Potockiego pod atamanem Gontą; można tu dodać liczne szkoły ks. Bazylianów i mnóstwo ślachty, zbiegłej do obronnego miasta. Ani wątpić, że z tą siłą zbrojną i swoją ludnością byłby się Humań obronił, gdyby nie następna okoliczność. Szczęsny Potocki, dziedzic Humania, napisał do Gonty, że mu dwie wsi daruje, jeżeli utrzyma jego kozaków w posłuszeństwie i Humań obroni. Ten list szedł przez ręce pewnego Młodanowicza, zawiadującego dobrami Potockich, który go otworzył, przeczytał, a skuszony sposobnością zyskania dwóch wiosek, zataił obietnicę pana przed Gontą i na siebie wziął całą obronę. Tymczasem Żeliźniak się zbliżał. Przerażenie powszechne, podsycane ciągłemi wieściami najwymyślniejszych okrucieństw, dręczyło zamkniętych w samym

*) O tak Lachu (Polaku), nasze panowanie po Słucz. Słucz rzeka na Wołyniu, która podług Rusinów ma stanowić na wschodzie granicę udzielnego ruskiego państwa.

warownym Humaniu. Gonta podejmuje się traktowania z Żeliźniakiem i wyjeżdża naprzeciw niego o trzy mile do miasteczka Sokołówki; kozacy nadworni postawieni w polu dla zasłony miasta. Niedługo trwała niepewność zamkniętych w Humaniu. Kozacy Żeliźniaka, albo jak ich zowią hajdamacy, pokazują się od lasku zwanego Greków i stają obozem. Gonta z nimi, a wnet i cały jego oddział, przechodzi na stronę hajdamaków. Wtedy dopiero poznał Młądanowicz całą nierozmyślność swego postępku i trudność obrony; ujmuje Gontę obietnicami Potockiego. „Już za późno!“ — Gonta odpowiedział. Obsadzono jednak okopy, zwrócono działa nabite ku nieprzyjacielowi; wszyscy z rozpaczy chcą się do ostatniego bronić. Dwa dni przechodzą na nieśmiałych harcach ze strony hajdamaków; gotowe działa trzymają ich w oddaleniu; udają się do wybiegu. Gonta posyła do Młądanowicza, aby mu pozwolono wjechać do miasta dla rozmówienia się; pomimo oporu innych Młądanowicz zezwala. Gonta przybywa pod bramy, ale w liczniejszym orszaku niż była wymowa; puszkarz chciał dać ognia, Młądanowicz połą od sukni nakrył zapał działa; Gonta wjeżdża, a jego towarzysze opanowują natychmiast bramę i poblizkie działa i ułatwiają szturm do miasta całemu korpusowi Żeliźniaka.

Pierwszy Młądanowicz padł ofiarą niedołężnego swojego głupstwa z rąk Gonty, który, jak sam wtedy powiedział, robi mu tę przysługę dla tego, że był chrzestnym ojcem jego dzieci.*) Śmierć Młądanowicza była ha-

*) Znałem jescze w roku 1830. jedno z tych dzieci chrzestnych Gonty, córkę Młądanowicza. Jej tylko brwi czarne uratowały ją od śmierci, która wtedy całą prawie jej rodzinę zniszczyła. Gonta wziął ją pod swoją opiekę i na trupach rodziców oddał ją za żonę jednemu z kozaków. Wkrótce małżonka powieszono a jego następcą został pułkownik polski Krebs, po którym wdowę ją poznałem. Kochana ta od wszystkich kobieta dla przyjemności charakteru, choć w takim wieku, napisała pamiętniki swojego życia; żałowaćby trzeba, gdyby zaginęły. Są w nich ciekawe szczegóły tyczące się nietylko rzezi humańskiej, ale wielu pierwszych domów polskich, między które los ją rzucał.

słem rzezi. Niespodziewany ten napad rzucił taki popłoch, że wszystko prawie tylko o ucieczce myślało. Szczupła liczba broniących się nie zdołała uniknąć smutnej śmierci. Broniono się jednak. Znaczna część schroniła się do kościoła Bazylianów. Dobyli go wkrótce kozacy. Rektor klasztoru, ksiądz Kostecki, miał mszą właśnie i lud wtedy błogosławił; strzał ruszniczny z chóru obalił go u ołtarza. Nie było względu na świętość miejsca; nikogo nie oszczędzono. Wkrótce scena mordu ogarnęła całe miasto. Trzy dni rzeź trwała: szesnaście tysięcy osób miało życie stracić rozmaitymi rodzajami śmierci; dziś jeszcze pokazują pod klasztorem Bazylianów miejsce ze studni, gdzie do tysiąca uczniów żywcem wrzucono i zaduszono kamieniami. Po trzech dniach przestrzeń miasta napełniona była we dnie snującymi się jeszcze za rabunkiem mordercami, a w nocy rozlegała się wyciem psów i wilków*). Obóz kozaków ciągle był za miastem, gdzie już Gonta dowodził, księciem humańskim obwołany. Żeliźniak zaś z częścią korpusu poszedł dalej i przez Boh się przeprawił.

Tymczasem wojewoda Stempkowski, mianowany regimentarzem z nieokreśloną władzą użycia wszelkich środków, aby stłumić szerzące się niebezpieczeństwo, nadciągnął w te strony. Z polskiem wojskiem porozumieli się teraz i Moskale na zgubę hajdamaków, nędzny koniec ich zawodu. Pułkownik moskiewski szedł oddzielnie, udając, że im sprzyja; stanął tuż przy nich obozem i posłał Goncie niby na znak dobrej przyjaźni złoty łańcuch, który miał znaczyć zgotowane mu kajdany, przyczem na wieczerzą go zaprosił. Nie zapomniano

*) Cały niemal obraz tych wypadków zamyka się w poemacie pod tytułem: Rzeź Humańska. Napisał go niejaki Darowski, który był wówczas uczniem i całą rzeź przesiedział w kopule farnego kościoła. Szanowny ten dla swojej autentyczności zabytek w rzadkich bardzo rękopisach krąży po Ukrainie. Czytałem go w takim wieku, że go jeszcze ocenić słusznie nie umiałem.

i o podwładnych. Wieczerza długa, napoju do woli; nazajutrz ujrzeli się hajdamacy okutymi w kajdany śród Polaków i Moskalów. Wkrótce nastąpiło wymierzenie kary. Była ona dopełnieniem okrucieństw, jakie hajdamacy nad Polakami wywierali. Rozwożono tych nieszczęśliwych w różne miejsca i rozmaicie wymyślanymi sposoby mordowano. Gontę stracono w Humaniu. Podanie twierdzi, że z nadzwyczajną stałością przeniósł wszystkie męczarnie. Darto z niego pasy, ćwiertowano żywcem, zdjęto skórę z głowy, a on cały czas fajkę palił i książkę czytał, póki mu głowy nie ścięto. Żeliźniak umęczony na Pobereżu we wsi Serbach za Tulczynem.

Tak się zakończyło to pamiętne powstanie, hajdamaczyzną i kolijewszczyzną między ludem ukraińskim zwane. Z takich to czasów, z takich to ludzi, osnułem Kaniowski Zamek; teraz pytam, jaki jego duch być powinien?

Popełnialiśmy nieraz i dotąd jeszcze popełniamy liczne błędy, stąd tylko, że nie znamy swojego kraju. Nie w samej literaturze czuć się to daje.

Zanadto może rozwlokłem przemowę, ale nigdy w chęci bronienia siebie. Zważałem tu głównie na wygodę czytających. Zresztą wiem dobrze, że przemowa i przypisy nie naprawią ladajakiego tekstu. Każdy za siebie. —

ZAMEK KANIOWSKI

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1.

Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury, jak olbrzyma ramię:
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów, po jarach, górach rozpierzchnięty,
Igra, jak dzieci pod piastunki okiem;
Dumne, że płyną pod olbrzyma bokiem,
Odważnie kipią dnieprowych wód męty;
A lasy świeże, jak powab nietknięty,
Po górach, dzikich, jak rozpaczy czoło,
Rozległe brzegi obsiadły wokoło.

2.

Wietrzna, jesienna, zawyła noc zdala.
Warzą się wiry w zamąconem łożu;
Wre chmur kłębami i niebo, jak fala;
Złośliwy obłęd igra po rozdrożu.
Podróżny z cichem szeptaniem pacierza
Mija rozdoły, świstające trzciną;
W skrwawionych szponach zgłodniałego zwierza
Dławione bydlę poryka doliną.
Pod szturmem wiatru, co silnie dmie górą,
Słychać skrzypanie[1]) głównej szubienicy;

[1]) wyd lipskie ma: skrzypienie.

Trup się kołysze, pies wyje ponuro,
Śmierć snu osiadła w zamku okolicy.
Szablą czasami pobrzękując krzywą,
Szyldwach wisielca, wzdłuż płaskiego wzgórza,
Zwijając wąsy, przechadza się żywo:
To cisza nocy w myślach go ponurza,
To szubienicy skrzypnienie ocuci.
A on wzrok błędny to na trupa rzuci,
Niby się jego zatrwożył wskrzeszenia, —
To, jak po śmiałość, kieruje spojrzenia,
Gdzie, baszt zamkowych opiekuńcza gwiazda,
Strażniczy ogień czuwa z wierzchu wieży.
Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
Coś majaczeje, coś po drodze bieży.
Tfu! W imię Ojca... To tumany dyable.
Po cieniach nocy wszystko się rozsiało.
Kozak opatrzył janczarkę i szablę
I dawną drogą chodził dalej śmiało.

3.

W świetle księżyca, co wyjrzy czasami,
Mignął ktoś bielą i zagasł tam w krzaku;
I śpiew[1] dziewiczy przeleciał z wiatrami;
Ten śpiew znajomy budzi dreszcz w kozaku.
Alboż to dziwno, że słowa dziewczyny
(Poznać ją można po jej miłej nucie)
W burzliwem sercu syna Ukrainy
Ocknęły nagle burzliwe uczucie?
Oho! Już niema kozaka u wzgórza.
A księżyc znowu mgłami się zachmurza
I noc mokrymi tumanami bije;
I szubienica skrzypi, i pies wyje,
I po rozdrożu igrają bałwany,
I wicher z jękiem dmie w zamkowe ściany.

---

[1]) wyd. z 1828. ma stale: spiew.

4.

Luba puszczyka siedzi naperzona.
W szczelinie wieży dawno jęczy ona,
Że miesiąc ściemniał,[1]) wiatry na nią[2]) wyły,
I na tak długo odleciał jej miły.
Wszak to lot jego usłyszała w górze!
Nie; to dziewczyna przychodzi pod wieżę,
Błądzącą ręką za mury się bierze,
Plątane nogi pośród nocy stawia.
— „Czyś tu, Nebabo?“ z cichutka przemawia.
— „Tu, tu, Orliko!“ szepnął głos przy murze.
— „O, jakżem rada, żem wreszcie przy tobie!“
Głośniej i śmielej dziewczyna wyrzekła.
„Jakże tu ciemno, jak straszno, jak w grobie:
Chętniebym jednak za każdą zręcznością
I do samego uciekała piekła
Przed tego Lacha obrzydłą miłością.
Jakże tu wietrzno i straszno i ciemno!
Ale mnie dobrze, skoro jesteś ze mną!“
Kozak tymczasem uchylił swej burki
I utuloną do boku przycisnął,
Bo przykry wicher pośród murów świsnął
I mgliste jęły podnosić się chmurki.

5.

Resztę rozmowy utaja milczenie.
A i na wieży miłe posiedzenie,
Gdy rozkochane zlecą się puszczyki.

Puszczyk pierwszy.

Skąd ci ten pośpiech[3]) i wesołe krzyki?

Puszczyk drugi.

Patrzaj-no, patrzaj, miluchna!
Oczkiem, żywem jak blask próchna!

[1]) wyd. z 1828. stale: sciemniał. [2]) wyd. z 1828, 1838 i 1852: na nie. [3]) wyd. z r. 1828. stale: pospiech.

Patrz-no i śmiej się, bo twe śmiechy miłe,
Jak tej matki wrzask przestrachu,
Którą niedawno ostrzegałem z dachu,
Że chory jej pieszczoszek zalegnie mogiłę!
Jak dyabli przy wisielcu snują się orszakiem.
Co oni wyrabiają z tym biednym kozakiem!
Cha, cha, cha!
Ten zmaczanym snopem trzciny
Jak na wszystkie strony macha,
Jakie grube mgły rozsiewa;
A ten obudza wiatry dębiny,
Jak biega wkoło, gałęziami smaga;
A ów mu pomaga,
Jak skrzypi szubienicą! Aż prawie wyrywa.

Puszczyk pierwszy.

Cóż[1]) to znaczy?

Puszczyk drugi.

Czekaj! Widzisz? Pod krzakiem coś białe majaczy.
To kochanka kozaka widzieć[2]) go przychodzi;
I kozak wie o niej, lecz go dyabeł zwodzi;
Co tu kobiecych snuje się postaci;
Głosów podobnych co tu z każdej strony!
Patrz! Posłyszał ją, ujrzał, bieży rozpędzony
I z oka traci!
Cha, cha, cha!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

A tam znowu, na górze, patrz! jeździec[3]) majaczy,
Podjeżdża ku szubienicy.

---

[1]) wyd. z r. 1828. stale: coż. [2]) wyd. 1828. stale: widzić. [3]) wyd. 1828. stale: jezdziec, jezdca itp.

Szyldwach do rusznicy:
Krzemień klasnął, proch wybuchnął,
Dyabeł dmuchnął.
Wszystko z wiatrem uleciało;
A przed oczami szyldwacha
Pożółciało, pociemniało,
I tysiąc jezdnych dokoła majaczy!
Cha, cha, cha!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Aha! Już kozak znalazł dziewicę.
Jeździec pod szubienicę.
Patrz! Trup się urwał; patrz, wisi drugi;
Dyabeł skory do posługi.
W jakiej się pysze
Wesoły dyabeł kołysze,
Jak zabawia towarzysze!
Jakie skoki, jakie śmiechy!
Cha-cha! Chy-chy!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Patrz! jeździec ukradł trupa i pędzi przez błonia,
Aż mgła wstaje z konia;
Już ledwie, ledwie majaczy!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Otumanili kozaka.
Poziera z pod krzaka:
I szubienica stoi i dyabeł się chwieje;
Kozak spokojny, a dyabeł się śmieje!

Puszczyk pierwszy.

Cóż się stanie z wisielcem, jak kogut zapieje?

Puszczyk drugi.

Parą się rozwieje.

Puszczyk pierwszy.

A jak trupa nie znajdzie, co szyldwacha spotka?

Puszczyk drugi.

Zmienić dyabła raczy.

Puszczyk pierwszy.

Cóż to wszystko znaczy?

Puszczyk drugi.

Szatańska pustotka!
Cha, cha, cha!
Szyldwach trupa nie ustrzegł, powieszą szyldwacha.

6.

A tam u dołu — jakie słychać gwary?
To słodkie słowa rozkochanej pary.
— „Cóż on ci prawił, moje ty kochanie,
Kiedym was dzisiaj zeszedł niespodzianie?“
Pytał Nebaba. — „Jego piosnka stara,
Tak, że już teraz i nie zważam na nią:
Jaka szczęśliwa byłaby z nas para,
Jak znakomitą zostałabym panią,
Gdybym zechciała zostać rządcy żoną.
Prawił jak dziecku. Szczególne gadanie!
Jakby mnie wkoło szanowano, czczono!
Potem dwór jaki, a jakie ubranie!
Że zresztą w szczęściu nie mogę być takiem,
Choćby z najpierwszym złączona kozakiem“.
„I ty go słuchasz, kochana Orliko!“
Przerwał Nebaba; a nagłe przerwanie
Dosyć odkrywa, jak wzmianka o panie

O serce jego odbija się dziko. —
„Lepiej byłoby nie słuchać, Orliko!
Jednak ty kochasz tylko mnie samego!“
Tak wrzące nagłe były słowa jego,
Że między niemi dosyć czasu minie,
Nim na odpowiedź zbierze się dziewczynie:
— „Ach! Tybyś może mniej uwierzył mowie,
Czy ciebie kocham; niechaj ci to powie!“
I pocałunek płonącej miłości
Złożyła w ogniu na usta zazdrości.
— „Orliko, słuchaj! Niech go niebo strzeże,
Kogo postawi piekło między nami!
Jutro, dziś jeszcze!... Widzisz o! te wieże!
Widzisz, Orliko, ten bór za wodami?...
A czyliż darmo i ja noszę szablę?
Jeśli podszepty uwiodą go dyable,
Orliko, słuchaj, i Bóg nie ustrzeże!“
I dla uniesień dzikich przyświadczenia
W dziewicze usta zionął takie żary,
Jakimi drzewo wypala dłoń mary,
Kiedy niewierny przeczy jej zjawienia.
A chociaż ogniem grały jego żyły,
Usta pałały i oczy iskrzyły,
Pozór krwi zimnej w głosie swoim chowa
I te do pierwszych doda jeszcze słowa:
„Takie, jak czujesz, nie zgasną upały!
Niechże się teraz dotknie ich zuchwały!
To pieczęć klątwy na skarbach twej twarzy,
A kto je ruszy, piekło go oparzy!“
Nagle się dziwnie zaśmiały puszczyki;
Pieszczone cieniem, stworzenia te rade
Słyszeć[1]) wyroki, co niosą zagładę.

[1]) wyd, 1828: słyszyć.

A strach się w sercu obudził Orliki.
I północ w dzwony zegaru uderzy;
I kochankowie poszli, gdzie sen woła.
I wszystko cicho u drzemiącej[1]) wieży;
I wszystko cicho pod zamkiem dokoła,
Chyba niekiedy puszczyk zachychocze,
Że syny piekła do pustot ochocze:
To echo zamku drażnią swym tupotem,
To znowu, zęby wyiskrzywszy smocze,
Błądzące ognie udają nad błotem.

7.

Gwiazdo świetna, wesoła, jak anioł młodości!
Gdy na złotym promieniu wiedziesz z sobą lato,
Jak jej nadzieja, wtedy spoczywasz w ciemności.
Dzisiaj mglistą jesieni osłoniona szatą,
Jakże tęsknie opuszczasz niebo Ukrainy,
Gdzie wszystko jest pięknością niewinnej dziewczyny,
Gdzie powietrze pogodne, jak blask jej oblicza,
Czaruje w swych powiewach urokiem jej tchnienia;
Gdzie wody odbijają światło jej spojrzenia;
Gdzie pagórki ponętne, jak jej pierś dziewicza;
Gdzie wietrzyk harmonią[2]) pieśni jej powiewa.
Gdzie kwiaty płeć jej mają, a jej świeżość drzewa!
Czemuż o smutna gwiazdo, w zachodzie jesieni,
Jak konające oko, twój się okrąg mieni?
Ponury jest twój zachód i wschód twój ponury,
Kiedy się w chmurę kładziesz, kiedy wstajesz z chmury!
Pod rosą, co się dzisiaj promieni tak świetnie,
Jutro, przed ranem jeszcze, ten kwiatek zakrzepnie,
Jak śród zdrajczej pieszczoty piękność uwiedziona.
Ten listek, taki świeży, żalu nie wyszepnie,
Gdy z rodzinnej gałązki wicher go odetnie

[1]) wyd. 1828, 1838, 1852 i 1870 stale: drzymać itp. [2]) wyd 1828· harmonią następne do lwowskiego z 1904: harmoniją.

I na wywiędłej braci jeszcze dzisiaj skona!
Żegnam cię więc, o gwiazdo, przed smutnym noclegiem:
Jękiem listka, co głuchnie nad ogłuchłym brzegiem;
Wielkim hymnem żórawi, co ciągną ku morzu;
Rykiem trzody, co rzuca jałowe pastwiska;
Głuchym szumem, co stęka w zmartwiałych wód łożu;
Konającym promieniem, co z rosy połyska,
Gdy raz ostatni drżącą zimny wicher ściska!

8.

Otóż[1]) i księżyc z pod światów posady,
Jak cień zmarłego słońca, wyszedł blady!
Żyjącym ogniem igra Dniepru fala;
Urwistych brzegów zabielały piaski;
Jak cienie chmurek majaczą wkrąg laski.
Lecz z przeciwnego dnieprowego brzega,
Jak nawałnica, gdy się na świat zwala,
Grożąca ciemność czarny bór zalega;
A tylko czasem między jego cieniem,
A tylko czasem nad jego sklepieniem,
Jak płomyk błędny, światło jakieś błyska,
I jaśniej buchnie łuno[2]) od ogniska.

9.

Gdy ziemia uśnie[3]), księżyc wartę trzyma;
I nocne wiatry oblatują ciszę,
I sen ciemięzcy czujność ukołysze;
Bezpieczna wtedy pod jego oczyma
Ochoczą młodzież radość przywoływa,
Gdzie na nią czeka swoboda szczęśliwa.
Poniżej miasta, ponad brzegiem, dołem,
Sędziwe lipy, Dniepru wód strażnice,
Stoją poważnie z płowiejącem czołem.

---

[1]) wyd. 1828. stale: otoż. [2]) tylko wyd. lipskie ma: łuną. [3]) wyd. 1828. stale: usnie itp.

Tam się na huczne schodzą wieczornice
Rzeźcy parobcy i hoże dziewice.
A gdy nad jasnym sinych wód rozlewem
I brzeg zasiędą i uwieńczą wzgórki
I wiatry Dniepru poślą z cichym śpiewem
I wnet uderzą w piszczałki, bandurki,
Wierzysz natenczaś, że to czarów siła
Zaklętą ucztę w nocy wyprawiła.

10.

Lecz niech piszczałki i bandurki dzwonią,
Niechaj się płocho rozkochani gonią,
Niech ziemia tętni, gdy taniec zakręca
Z lekszej młodzieży uplecione koło,
Niech na ustroniu dziewczę, skryte połą,
Bijącem łonem rozgrzewa młodzieńca[1]).
Tam pod drzewami posiedzenie cichsze.
Tam skłonne serca i kielich godowy
Kupią płci obie na ważne rozmowy;
Tam nieszczęśliwy, znikły we złym wichrze,
Czerwony upiór,[2]) co północną chwilą,
Krew sennych dzieci wydaja[3]) z odźwierka;
Widma,[4]) oczami wartowana tylą,
Co rosę z kwiatów na śmietanę cyrka;
Jęcząca w górze nieochrzczona dusza;
Latawiec-gwiazda, co kobiet[5]) wysusza, —
Litość i trwogę budzą naprzemiany.

11.

Cyt! „Ho-hop, ho-hop!“ — odgłos smutny znany.
Smutny, jak odgłos sowy pośród cienia,
Coraz wyraźniej, coraz bliżej woła.

---

[1]) w wyd. 1828. brak tego i poprzedzającego wiersza, a miejsce zaznaczono kropkami. [2]) wyd. 1828. stale: upior. [3]) wyd. lipskie: wypija [4]) wyd. 1828. i następne mają stale ten prowincyonalizm: zamiast literackiego: wiedźma. [5]) tak mają wszystkie wydania; Spasowicz zamiast tej błędnej formy gramatycznej (nie wiem, na jakiej podstawie) cytuje: żony.

„Topielec Ksenia! Ach, topielec Ksenia
Zbliża się do nas!“ wołano dokoła.
Razem ustały i tańce i śpiewy;
Ciasnym okręgiem skupiły się dziewy,
Wzrok niespokojny zwrócili parobcy
W stronę. skąd słychać głos ten, ziemi obcy.
— „Ho-hop, Nebabo! Ho-hop, atamanie!“ —
Bliżej i bliżej i bliżej hukanie.
Aż oto razem i straszydło stanie!
Jakby skrzydłami pijanych szatanów,
Śród takich leci konwulsyjnych tanów.
Postać szkieleta, dzikość ma w spojrzeniu;
Łachmanów strzępy wiszą po odzieniu;
W wywiędłe kwiaty, w wypłowiałe wstęgi,
Utkała gęsto warkocz skołtuniony:
Gwizdnęła, klasła i z wietrznymi kręgi
Nagle we wszystkie rzuciła się strony.
— „Ho-hop, Nebabo! Ho-hop, atamanie!“ —
A jaki wkoło strach i pomieszanie!
Gdzie tylko zwróci, gdzie się tylko zbliża,
Jak przed szatanem, robią znaki krzyża;
Bo choć dyablica ma postać człowieka,
Jednak od krzyża ze wstrętem ucieka,
I gnać ją trzeba, bo mu nie najlepiej,
Z kim ona blizko, przy kim się uczepi.
—„Ho-hop, Nebabo!“ — dokoła huknęła
I, jak tu spadła, tak stąd i zniknęła.

12.

Już to zamkowi lękać się potrzeba,
Gdy ją zesłało, ciężkiej kary nieba.
Dziwna istota! co z pewnego czasu
Ciągle przebiega miasto, z końca w koniec,
Z hukiem wędrowca, gdy błądzi śród lasu.
Kto wie, czyli to nie złej wróżby goniec?

Bo cera u niej od śmiertelnej bledsza;
Jak myśl rozpaczy, tak się zjawia, znika,
Dziwna jej żywość, jak radość puszczyka;
Głos, jak psa wycie, kiedy trupy zwietrza.
— „Niech Bóg odwróci dyablicę przebrzydłą!
Niech Bóg ustrzeże od niej atamana!“ —
Przebąkiwała drużyna zmieszana,
Zmieszana jeszcze, choć znikło straszydło.

13.

Gdzież jest ataman, że w gronie mołojców
Na wieczornice[1]) dotąd nie przybywa?
Gdzież jest ataman? każdy zapytywa.
Ataman: stary w kole starych ojców;
Jak sam pan polski, przed panem tak hardy;
Prędki jak połysk, co biegnie żelazem,
Lecz w swojej zemście, jak żelazo twardy;
Czczony od swoich zarówno z obrazem,
Duszą jest dziewcząt i wieczornic razem!
Ten czarny wąsik, co w drobnym pierścieniu
Nad różowemi ustami się zwija;
Ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak odbija
Jak blask południa przy północy cieniu;
Ten kształt postawy, co, burką opięty,
Tak się wydaje w wspaniałym pochodzie,
Jak maszt bajdaku, gdy żagiel rozdęty
Mknie go z wiatrami po dnieprowej wodzie.
Szczęśliwa, którą zaczepi uprzejmie;
Szczęśliwsza, którą uściskiem obejmie;
Szczęśliwsza jeszcze, najszczęśliwsza w świecie,
Czyją wstążeczkę w sełedec zaplecie!

14.

Gdzież jest, co robi ataman Nebaba,
Pierwszy z kozaków starosty nadwornych?

[1]) jedyne wyd. lwowskie z 1904. ma: wieczornicę.

Siedzi on cichy w ciemnościach wieczornych,
Gdzie wrzawa miasta dolatuje słaba,
Gdzie na dnie jaru, ścian zamkowych spodem,
Cicha krynica drzemie pod osiką;
Tam przyszedł czekać, jeszcze przed zachodem,
Jak się umówił ze swoją Orliką.
Jakkolwiek sercem unosisz się dzikiem,
Wlecze cię miłość piękną rzęsą jedną,
Jednem westchnieniem, jednym ócz promykiem.
Już słońce zaszło, zmierzchłe nieba bledną,
Ziemia ciemnieje, a Orliki niema.
A zakochany, w oku, w uchu wszystek,
Tak wokrąg strzela okiem i uszyma,
Czy wiatr przeleci, czy upadnie listek.
Kochane widmo marzy jego dusza!
I wiatr przelata i liść się przerusza,
Orliki jednak, jak niema, tak niema.
Już po sto razy wzrokiem wypatrzonym
Witał wstające nad wzgórzem obłoki;
Już po sto razy rozeznał jej kroki
W blizkiego zamku zgiełku przytłumionym;
I zawsze błądził, aż błądząc wokoło,
Nad ciche źródło schylił ciemne czoło.
I tak głęboko myśli w niem zanurzy,
Jakby w zwierciedle serca swego burzy.
A tam błękity maluje odbicie,
I obraz jego w odbitym błękicie,
Jakby go ręka stworzyła malarza.
Łuno tam słońca w zachodzie się mieni;
Obłędnym blaskiem gasnących płomieni
Mierzchnące nieba gasi, to rozżarza.
A kochankowi tak czas jakoś idzie,
Jakby się patrzył na lubą we wstydzie.
W górze liść zwiędły nagiej osiczyny,

Sam na gałęzi, posępnie szeleści;
Tak, odumarły od lubej rodziny,
Sędziwy ojciec, bez pociech, w boleści,
Podobnie zwiędły, samotny podobnie,
Do grobu dziatek utęsknia żałobnie.
Gęściejszym zmierzchem już się niebo mroczy;
Mroczy się niebo i na dnie przeźroczy[1])
W bledszym zachodzie zorza zaigrała;
I przez gałęzie bezlistnej osiki
Zadrżały[2]) w wodzie żywe jej promyki.
Ach, jakie żywe! To oko Orliki!
Otóż się jawi i postać jej cała:
Widzi, jak z góry krok przyśpiesza skory,
A od pośpiechu lica żywiej płoną,
A od radości częściej bije łono,
A od powiewu, co plącze kędziory
I kraśne wstęgi po plecach rozwija,
Z cienkiego stroju stan smukły przebija.
Już staje obok, już ją oto ściska.
Aż nagle zorza chowa się w obłoku.
Widmo zniknęło, ciemność na dnie stoku;
I o wiek cały szczęśliwość tak blizka!
A u kozaka taka myśl ponura,
Jakby mu w duszy osiadła ta chmura.
Nie wie, dlaczego. Odsunął się w stronę,
Oparł na ręku czoło zamyślone;
Znowu się rzucił, jakby w nagłym gniewie,
I razem ostygł; czemu wszystko? — nie wie.
A potem dobył kindżału[3]) z za pasa,
Obracał w ręku, igrał z blaskiem jego,
Próbował ostrza, nie wiedzieć, dlaczego.

15.

—„Ho-hop, Nebabo!“—dyabeł wichrem hasa.
Niechże cię smołą rozleje krzyż pański!

---

[1]) wyd. 1828: przezroczy. [2]) wyd. 1828: zadrzały. [3]) wyd. 1828. ma: kinżału.

I tu ofiarę zwietrzył nos szatański!
Poznał ataman po przelocie ptaszka;
A że mieć z dyabłem sprawę, nie igraszka,
Trzeba tu uwieść tę szatańską córkę.
Więc się przeżegnał, obwinął się w burkę,
I przyczajony czekał pod osiką,
Aż się wykrzyczy i dalej pomacha
Lucyferowa opętana swacha,
W dyabelskim tańcu, z dyabelską muzyką.
— „Ho-hop, Nebabo!“ — a ona dokoła,
— „Ho-hop, Nebabo!“ — a ona go woła.
A okiem błyska i martwo i sino;
Tak krople siarki z wolnym ogniem płyną.
Masz pułk szatanów, jeszcze ich miej tyle,
Wytropić jego nie jesteś ty w sile!
Kiedy więc długo hukała, klaskała,
Z hukiem i klaskiem dalej poleciała.
Uniknął przecie strasznego widzenia,
Lecz trwożne serce niedobrze coś wróży;
Orliki niema, a wabiła Ksenia.
Wszystko niedobrze. Nie czas myśleć dłużej
I dłużej czekać, bo hasłem wiadomem
Z zamkowych ganków trąba się ozwała
I strzał wieczorny zamkowego działa
Zatrząsł Kaniowa okolice gromem.

16.

Czy się spodziewać starosty przybycia?
Czyli patrona pana rządcy święto?
Że tak zamkową salę wyprzątnięto,
Stół ustrojono w kosztowne nakrycia,
Jasnem go srebrem suto zastawiono;
A tak, jak wielka, przez stołową salę,
To na zwierciadłach, to w rzniętym krysztale
Jarzące światła rzęsnym blaskiem płoną.

I sam pan rządca, wieczorem, przebrany
W nową czamarę, w pas złotem kapiący,
Rozkazał, aby strojono torbany,
By czystą odzież oblekli służący,
Hojną wieczerzą by zastawić stoły,
Odeprzeć lochy, warowne żelazem,
Wytoczyć na dwór kilka beczek razem, —
Aby ten wieczór wszystkim był wesoły.

17.

Lecz na cóż tutaj długie tajemnice?
Młoda Orlika już jest rządcy żoną.
Tylko co ślubne światła pogaszono,
I ksiądz zdjął stułę i zamknął kaplicę.
Wszyscy się dziwią nad skrytym powodem
Tak pośpiesznego tego rządcy czynu,
Choć dobrze znana jego miłość stała.
Ale Orlika! to to dziw dla gminu!
Co jeszcze dzisiaj przed słońca zachodem,
Niż zostać Polką, — umrzećby wolała...
Za godzin kilka, nad samym wieczorem,
Wysławszy służbę surowym rozkazem,
Został się rządca sam z Orliką razem
I coś poważnym zaczął rozhoworem.
Prędko i przykro wrzasnął głos Orliki,
Jakby nagłego przestrachu wrzask dziki.
Rządca wciąż mówił; dziewczyna milczała;
Ucichł; dziewczyna znowu zaszlochała.
I słychać było długo, nieprzerwanie,
Mieszane ciągle jej słowa i łkanie
I wzdłuż komnaty poważne stąpanie.
I znowu potem groźna rządcy mowa,
Jak huk stłumiony, rozległa się wnętrzem;
Prędzej urywał, prędzej chwytał słowa —
I ucichł; jakby odpowiedzi czeka.

A gdy dziewczyna, widać, ją przewleka,
Uderzył krokiem o podłogę prędszym
I chciał wyjść pewnie, bo klamka zabrzękła;
A tu Orlika jak przebita jękła.
Musi być zadość srogiemu żądaniu,
Bo wrócił nazad i jak najłagodniej
Tulił ją długo w ciągłem jej szlochaniu
I z taką dumą, tak rad, wyszedł od niej!
Chłopak, co śpieszył na zamek z torbanem,
Tak, koło okien przystrojonej sali,
Ciemno, otwarcie, mówił z atamanem;
Mówił, jak wiedział, jak mu nagadali.

18.

Jeśli są słowa, że,[1] jak gromu ciosy,
Niosą śmierć nagłą w najczerstwiejsze zdrowie,
Czuł je Nebaba w tej chłopaka mowie.
Jak szatan zgrozy najeża mu włosy.
Jak we mgle żółtej wzrok jego słupieje.
Niby dłoń śmierci za serce chwyciła,
Taki po ciele zimny pot się leje,
A lodem zda się stygnąć każda żyła.
Usta mu drgają, kolano przyklęka,
Tylko się wierna za nóż chwyta ręka.

19.

Śród gwarów tłumnych, śród blasku powodzi,
Widać po ruchu tych cieni tysiąca,
Które maluje ściana pałająca,
Że już do sali weszli państwo młodzi.
Po skręcie służby, po dźwięku talerzy,
Widać, że młodzi siedli do wieczerzy.
A teraz w kolej puszczono puhary;
Bo tak powstali z miejsca godowniki

[1]) wyd. lipskie i lwowskie z 1904: co.

I tak zabrzmiały wiwatne okrzyki,
Aż echem wieków dzwoni zamek stary.
Ucichło trochę,[1]) — teraz naprzemiany
Z wesołym śpiewem słychać teorbany.

20.

I nad dnieprowych sinym wód rozlewem
Igrają wiatry ze dźwiękiem i śpiewem.
W kolejne czarki napój się rozlewa;
Snują się kołem rozpląsane grona.
Aż ziemia z głębi ciężko przyhukiwa,
Jak zadyszana, poważna matrona.
Ataman śpieszy, burką obwinięty,
Jak cień obłoku, gnany od wietrzyka;
Minął już ulic spadzistych zakręty,
Teraz przez tłumy brzegiem się przemyka.
Ni go bandurki, co brzęczą do skoku,
Ani miłośne dumy zatrzymają;
Z wiatrem u uszu,[2]) z ponurością w oku,
Między ciekawą przemyka się zgrają.

21.

Czy to cień jego po rzece żegluje?
Że mimo częstych, wikłanych obrotów,
Tak nieodstępnie kozaka pilnuje,
Jakby co chwila u brzegu być gotów?
To pianę wirów gwałtowniej roztrąca,
To igra wolniej w odbiciu miesiąca,
To znów spokojnie na falach się wiesza;
W prawy bok, w lewy, w przód, w tył drogę miesza,
A pierś się jego nie ozwie piosenką;
Z cicha brzmi wiosło i pluska czółenko.[3])
Z pomiędzy nurtów, co miesiącem świecą,
Tak się w nierównym polocie wydaje,

---

[1]) wyd. 1828: troche. [2]) wyd. lipskie i lwowskie: przy uchu. [3]) wyd. 1828: czołenko.

Jak cień jastrzębia, gdy nad okolicą
Krąży za łupem przez podniebne kraje.

22.

Kozak w pochodzie razem się zatrzyma;
Nadstawi ucho i strzeli oczyma;
Za nim to, za nim, złowrogie klaskanie!
Więc razem w miejscu wstrzyma się i stanie
I rzecze zcicha: „Ha! szatańskie plemię,[1])
Raz ty ostatni straszysz żywą ziemię!
Próżno przeklęci piekłem ciebie zbroją,
Skoro do skroni przyłożę pięść moją;
Chociażby wszyscy grozili wleźć we mnie,
Już ja się ciebie nie dotknę daremnie!
Zaraz tu razem i z tobą ulecą;
Tylko chodź bliżej, tylko bliżej nieco!“
Otóż i marsem błysk oczu przymracza,
Szyderskim śmiechem słodzi twarz surową,
A tu tymczasem burkę precz odtacza
I odwiedzioną trzyma pięść gotową.

23.

Wesele Kseni musi być niemałe,
Że, obleciawszy wokrąg miasto całe,
Znajduje wreszcie, co tak długo szuka.
Wesele Kseni musi być niemałe,
Bo raźniej skacze, bo donośniej huka,
I kłami piekła dłonie larwy klaszczą,
I oczy larwy skrzą się piekła paszczą.
Jakże być wielkie musi jej wesele,
Że bardziej zbliża krok i tak już blizki;
Wszakże mu ona gotuje uściski:
Widać w jej ruchach, widać to w jej oku.
Kozak na wszystko odważa się śmiele;

[1]) wyd. 1828: plemie.

Nie zmruży powiek, nie cofnie się w kroku.
Już opętana w konwulsyjnym rzucie
Ma w jego ustach złożyć ust swych czucie,
Już chwyta szyję dłońmi wywiędłemi,
Już... i omdlała leży już na ziemi...
Tylko pod pięścią skronie zachrupały,
A na oblicze zdroje krwi buchały.
— „Ho-hop, szatanie! Bierz teraz, co twoje!“—
Mruknął ataman i szedł w drogę swoję.

24.

„Tam, tam! gdzie widać ognie pod tą puszczą,
Do niej się kieruj, zawsze, zawsze do niej!
Tylko niech prędzej twoje wiosło goni,
Tylko niech ciszej wody przy nas pluszczą.
Przeprawa trudna, a drogi czas krótki.
Ciszej, a prędzej!“ Tak kozak ostrzega,
Kiedy u brzegu wstępował do łódki,
Kiedy pośpiesznie odbijał od brzega.
Woda dnieprowa poważnie się toczy,
Częstym całunkiem o pierś łódki pluska;
Na niespokojnej, na drżącej przeźroczy
Łamie się księżyc, jak ognista łuska.
Za lotnym dębem drobne wiry gonią;
Nadbrzeżne echa dźwiękiem wiosła dzwonią,
Jakby na zbiegłych żeglarzy wołały.
Szybko za nimi cofa się brzeg cały.
Głuszej ich wrzawa dolata Kaniowa;
Częściej po jarach światełko się chowa.
Już i szum puszczy zawiał im donośnie.
Cóż to za nimi coraz bardziej rośnie,
Im bardziej z brzegiem umykają góry?
Zamek to rośnie; zna go wzrok ponury,
Co jeszcze z łódki popatrzył ku niemu.

25.

O, jak wspaniale za nocy zasłoną,
Jak rzęsnem światłem okna jego płoną!
„Niech sobie płoną, niech i rzęśniej płoną!
Jak mnie dziś, jutro przyjdzie ciemno jemu!
Jutro, pojutrze, zaświta inaczej!
Biedny, kto mojej zapragnął rozpaczy!“ —
Aż mu się piekłem krew zajęła cała,
Aż mu się czapka od włosów podniosła.
Od jego dreszczu aż się łódź zachwiała,
Aż się obejrzał rybak, co u wiosła, —
Kiedy te myśli, jak piekła zarzewie,
Przeszły piorunem przez Nebaby głowę,
A to, gdy światła obaczył zamkowe.
Już gniew ostyga w kipiącym przelewie;
Ale, jak piekieł mieszkańca zjawienie,
Choć zniknie, długo powietrze zaraża,
Tak, choć przelotne gniewu uniesienie,
Gorzkiem jątrzeniem długo myśl rozraża.
„Lepiej by było, moja pani miła,
Sto razy lepiej, jakem ci kochankiem!
Abyś lat tysiąc czerepianym dzbankiem
Tę wodę z rzeki dla siebie nosiła!
Lepiejby było dla twej jasnej doli —
W grubej siermiędze, z nieochajnym chłopem
O głodzie, chłodzie, pracując w niewoli,
Krwią się rozpływać nad nieswoim snopem,
A potem płakać pod skopconym daszkiem
Rano i wieczór, że twe białe ciało
Od mrozu, skwaru do krwi popadało,
Niż, będąc tobą, pobracić się z Laszkiem!
Niż przespać jedną[1]) noc pod adamaszkiem!“

[1]) wyd. 1828: jedne.

Plusnęły o brzeg rozpędzone wały,
Daleko naprzód chyża wbiegła łódka;
Prędko kozaka dumy się przerwały,
Prędko mu przeszła rozkosz zemsty krótka.
Szkoda! bo wiele niosły mu ulżenia:
Jęk, rozwaliny, trupy, krew, pożary.
Są to własności jak zemsty, tak chwały,
Że najzgubniejsze, najdziksze marzenia
W cnoty i szczęścia powaby ustroją;
Tak, gdy chcą uwieść kuszące nas mary,
Światłem aniołów barwią szpetność swoją.

CZĘŚĆ DRUGA

1.

Spał świat głęboko, nocą otulony;
Obchodząc wartą ciemne człeka gniazdo,
W milczącej cześci[1]) szła gwiazda za gwiazdą;
Niebo przez chmurne patrzało zasłony.
Ucichły hasła, łańcuchy drzemały;
Jak martwe widmo, milczał zamek biały.
I młoda para w małżeńskiej komnacie,
Na łożu pysznem, na snu majestacie,
Spoczęła mile śród puchów zatopu,
Osłonionego w drogie adamaszki,
Co, fałdowane śród wiatru[2]) igraszki,
Spływały na dół ze złotego stropu.
Ucichło wszystko pod zamku sklepieniem,
Chyba sen tęskny ozwie się westchnieniem,
I wiatr, wysłany od nocy szyldwachem,
Smutnem jej hasłem zawyje pod gmachem.
A potem wokrąg milczenie na nowo;

---

[1]) wyd. wrocławskie, lipskie i lwowskie ma: części.
[2]) wyd. z 1904: wiatrów.

Tylko łagodnie brzęk miły i głuchy,
Jakim powietrzne igrające duchy
Noc ożywiają, gra w ciszę zamkową.

2.

Któż to zatętniał, stuknienież to czyje
Dało się słyszeć[1]) za drzwiami komnaty?
Nie pierś to lubej żądnem sercem bije,
Lecz goniec puka od granicznej czaty.
Dyszy pośpiechem, lica trwogą blade.
„Wstań, panie rządco! ciepłe porzuć łoże,
Złe ci nowiny w tej chwili przywożę;
Wstań i posłuchaj i weź jaką radę.
Oto nadbrzeżne słyszały dziś straże,
Jak się po Dnieprze pluskały nie kaczki,
Jak coś nie ptakiem tłukło się w czaharze;
Wyraźnie obóz przeprawiał się Szwaczki,
Co aż dotychczas cicho stał za wodą.
Niechże się kokosz wywija przed szkodą,
Kiedy ją oczy jastrzębia obwiodą.
Zamek, choć mocny, lecz osada mała,
Aby przed silnym szturmem się ostała,
Zwłaszcza, gdy razem przyjdzie bronić miasta;
Chociaż i w mieście złego coś wyrasta,
Bo już gotują i kosy i noże;
A nawet w zamku, kto wie, co być może?
Zaradzić złemu, jak się tylko zjawia,
Leć do starosty. On śród Bohusława
Poi gromady, rozstrzeliwa baby;
Niechaj tu przyśle posiłek choć słaby.
Leć, nim rozświta, nim się zamek dowie;
A my tu będziem na wszystko gotowi".

3.

Nie mylne wieści, nie fałszywe trwogi!
Szwaczki to obóz nie w dobrym zamiarze

---

[1]) wyd. 1828: słyszyć.

Pluskał po Dnieprze, tłukł się po czaharze,
Gdzie w ciasnem łożu skręconej odnogi
Wrzący nurt Rosi i błyska i pluszcze,
A wiatr pobrzeżną oszczekiwa puszczę,
A w niej gwar dziki klekoce ponuro,
A mgła kłębata, co ciemnieje górą
Nad jej sklepieniem, wkrąg się już rozwlekła—
Jakby tam anioł śmierci i zagłady
Warzył dla ziemi nad płomieniem piekła
Wszystkie domowych zaburzeń szkarady.
Nie darmo czujne pałają ogniska,
I jacyś zbrojni leżą u płomieni,
Gdy wieńce borów zrywa wiatr jesieni,
A szron[1]) sędziwy na darniach połyska.
Choć leżeć[2]) oni zdają się spokojnie,
Ach, krwi to dzieci i myślą o wojnie!
Noże u pasów, ich czoła w kołpakach;
Dłonie na nożach, choć oczy uśnięte;
Do pik utkwionych rumaki przypięte,
A dniem i nocą siodła na rumakach.

4.

A jeden kozak na ustawnej straży
Niezgasły ogień czasami rozżarzy
I na swą pikę wspiera się bezwładnie.
Słucha i patrzy Nic w tym puszczy mroku
Nie ujdzie jego ni ucha, ni wzroku:
Niech strzępek szronu na uschły liść padnie,
Niechaj ptak klaśnie gałęzią zdaleka,
Niech pies w dalekim futorze zaszczeka, —
Już on to schwycił w gwarnym borów szumie
I pochwycone wnet rozróżnić umie.
I znowu oko zwrócił do ogniska
I znowu piką poprawił płomienia:

---

[1]) wyd. 1828: śrzon. [2]) wyp. 1828: leżyć.

Kłębią się dymy, czerwony żar pryska,
Rośnie wał ognia, noc się zarumienia.
Pośród bijącej, krwawej łuna fali,
Jak mgliste duchy, cienie drzew się kładą.
Dalej noc czarna; tylko w ciemnej dali,
Jakby zaklętą rozsiany gromadą,
Bezwładny obóz groźnym snem usypia:
Tam się błysk stosu ostrza piki czepia;
Tu wpół dobyty nóż czasem zabłyska, —
Jak rozdrażnionej gadziny oczyska.
Gdzieniegdzie znowu z pod burki kosmatej
Sen niespokojny wychylił pół twarzy,
I przez sen widać, co każda z nich marzy,
To z brwiów marszczonych, to z wargi wąsatej:
Na tej śmiech dziki, klnące słowa na tej.
A tam przyjaciel i wierny choć panu
Koń, ułożony tuż pod pana bokiem,
Strzeli niekiedy przebudzonem okiem,
Niby kochanie śród świata tumanu.[1])
W samej cichości obraz niespokojny
Nadzieją mordów kołysanej wojny.

5.

Tam, gdzie dąb grubszy i stos pełniej płonie,
Dwóch tam usiadło, a przy nich dwa konie.
Po tym wytwornym atamańskim stroju,
Co drogiem złotem czasami odbłyska
Nagłe, nierówne spojrzenie ogniska,
Po tej postaci, złożonej do boju,
Po wąsie, w czarne puszczonym pokręty,
Po dumie czoła, po oblicza krasie, —
Mściwy Nebaba zaraz poznać da się.
W milczeniu siedział burką wpół opięty,
Spokojnie trzymał lewicę za pasem

[1]) w wyd. 1828. wiersz ten opuszczono.

I głownię noża pogłaskiwał czasem.
— „Nożu mój, nożu! błyskasz do mnie próżno;
I próżno, widzę, naostrzyłem ciebie;
Inni swój snopek w naszem polu użną,
Nim pośpieszymy z tobą ku potrzebie;
I wprzód rdza ciebie, wprzód ja siebie strawię,
Niżeli w męzkiej z niewiarą przeprawie
Ducha radością, ciebie krwią opławię!“
Tak mówił kozak, potrząsając głową;
I z nocnej rosy otarł noża ostrze,
Ale wejrzenie nagłe, od słów prostsze,
Wydaje, komu przyciął tą przemową.

6.

Naprzeciw niego, jak odblask poczwarny
W chropawem lustrze, siedział kozak drugi:
Na pierś obrosłą zwieszał się wąs długi,
Całe pół twarzy ściągał mu szram czarny;
A chociaż czoło starością bielało,
Młody rumieniec zalewał twarz całą;
A, choć ogniste, ledwo iskrzy oko,
W zatyłej twarzy tak siedzi głęboko.
To Szwaczka. Pierwszy śród mieszczan Kaniowa;
Choć często w ucztach kręci mu się głowa,
I ciałem ciężki i wiek długi liczy,
Ale ma piętno rozbojów na Siczy,
Ale od Lachów z dumy obrzydzony,
I dumy Lachów zwie się wrogiem śmiele; —
Więc chętnie stanął na powstańców czele,
I atamanem chętnie okrzykniony.
Zdaje się jednak, że (czy brak zapału,
Czy, że kielichem zbytnie się rozgrzewa)
Więcej, niżeli przystoi, spoczywa.
A tu kozactwo zraża się pomału;
Częściej i głośniej słychać między tłokiem:

„Czemu nie idzie w zamek, co pod bokiem?
Czemu, gdy świeżo z Żeliźniakiem[1]) Gonta
Zawieść hulankę uśpieli[2]) tak rączo, —
On tylko gnuśny, myślą się zaprząta,
Złączyć się z nimi? Czemuż się nie łączą?“
I nic nie wiedzieć; korzyść badań zwykła;
Bo przez natrętne naglony pytanie,
Jak zacznie szukać mowy w pełnym dzbanie,
Uśnie wprzód z tajnią, nim język wywikła.

7.

Niewiele tknął się Nebaby żałobą,
Bo już nadpity dzbanek miał przed sobą;
Jak nie swojemi popatrzył oczami,
Poważnym śmiechem kilka razy chrząknął,
Uderzył w ogień; — gdy prysło iskrami,
Wpół dosłyszanym językiem przebąknął:
„Widzisz te iskry? Słuchaj, atamanie!
Kto chce szczęśliwym zostać przez kochanie,
Kto zrobić stałem chce serce kobiece,
Niechaj się lepiej zakopie w tej dziczy
I liczy iskry, te wszystkie niech liczy!
Zapomnij z biesem o twojej Orlice!“
— „Już ja się pewno toi nie napiję.
Aby mi serce wyzdrowiało chore;
Ani mi rady potrzebne tu czyje!“
I szydnym gniewem wzrok Nebaby gore.
„Czy jest na świecie Orlika, czy niema,
Co nam do tego; dla nas blizka zima;
My puszcz tułacze, Polacy przed nami.
Patrzaj na burki, patrz koniom na grzywę;
Jak twoja głowa, wszystko szronem siwe!
Słuchaj, kozacy jak sieką zębami!

---

[1]) wyd. 1828. stale: Żeliźniak, [2]) wyd 1828: uspieli.

Bo biedni nawet nie mają i tego,
Czem ich ataman tak często się grzeje;
I głód ich strawi i wicher zawieje,
I jak po swoich Polacy tu zbiegą.
I sami z głodu, poczekawszy trochę,
Wlecą w sidełka, jak ptaszyny płoche!
Niż grzać się w zamku, czyż to będzie lepsze,
Płynąć bez chęci popod lodem w Dnieprze?
Albo z gałęzi poglądać w obłoki
I z każdym wiatrem straszyć w gniazdach sroki?“
A Szwaczka, ognia poprawiwszy piką,
Ode dna flaszy bełknął głuchym łykiem
I nieposłusznym zaczął coś językiem.
Oko Nebaby zasępione dziko.
Kiedy się serce zachmurzy urazą,
Wzrok wtedy błyskiem, piorunem żelazo!
I biada chmurze, co chce być przeszkodą.
Popruta, zbita, rozpłynie się wodą.
A ogień gniewu przejął go aż w szpiku!
Szwaczka przemówić na nowo się musił,
Lecz znowu słowa zaplątał w języku:
Tylko poważnym śmiechem się zakrztusił.
Tu oczy zwolna w powiekach zagasły,
Na obie strony powoli się skłania,
Aż razem tułów*) przewalił opasły;
Że jeszcze żyje, znać z jego chrapania.
Długo Nebaba po cielsku szerokiem
Spojrzeniem wzgardy błędne koła pisał;
Długo szum boru myśl jego kołysał,
Nim w walce uczuć ozwał się wyrokiem:
„Trzech dyabłów synu, przebrzydły opilcze!
I tobież dzielną przewodzić młodzieżą?
Chyba mię sami szatani ubieżą,

¹) wyd. 1828: tułow.

Że cię tu zęby nie skosztują wilcze,
I w bramy zamku twe pięście uderzą!“
A jakby żądło piekła go ubodło,
Porwał się nagle i skoczył na siodło.

8.

Nie drzemie szyldwach, płomienie ocuca;
A wiatr jesienny gałęzie mu zrzuca. —
I znów, jak usnął, śród drzewa umilka.
Gdzieś tam daleko śpiewa kur przed świtem,
Dalej i głuszej słychać wycie wilka;
Bliżej Ruś pluska kręconem korytem, —
Niby sen cichy tej strony kołysze.
Co za świst przykry budzi lasów ciszę?
Jak dziki wicher, ocucony w borze,
Takim zakipiał cały obóz gwarem;
Jako gdy wicher zaiskrzy pożarem,
Tak zaiskrzyły wkrąg piki i noże,
Kiedy na nagłe pogwizdnienie trwogi
Spłoszony obóz porwał się na nogi.
Jeszcze gwizdnienie; w oka mgnieniu po niem
Wszystkie kopyta z miejsca zatętniały
I ciasnem kołem stanął obóz cały,
Gdzie widmo jeźdźca mgli się karym koniem.

9.

— „Co to, Nebabo?“ — Zaraz go poznali;
Bo któżby z koniem wydał się wspanialej?
— „Co to za trwoga?“ — z obawą spytali.
— „Chcę was pożegnać, bo już ruszam dalej.
Niechże to dla was nie będzie niemiłem,
Że trwogi niema, a ja ją wzbudziłem.
Lecz jeśli macie i serce i głowę,
To nie będziecie na mą głusi mowę“.
Tu go młódź[1]) w węższe otoczyła koło,

[1]) wyd. 1828: młodź.

Bo się patrzała i słuchała rada,
Jak męstwem dumne rozpromienia czoło,
Jak w szczerej mowie śmiałem sercem gada.
— „Nie myślę długo przed wami ja prawić,
Co mię przymusza was, bracia, zostawić“. —
Zaczął Nebaba. Wyrosły śród czerni,
Zna jej umysły i wzruszać je umie;
I tak przystało mówić jego dumie:
— „Atamanowi swemu bądźcie wierni;
Przy nim tak dobrze można tutaj drzemać!
A ja nie mogę dłużej z wami trzymać
I ziewać z wami; ja jeszcze skłuć mogę
Choć kilku Lachów, choć dwór jeden złupić;
Wtedy mi będzie przyjemniej się upić!
To was i żegnam i ruszam w swą drogę“! —
Ostra przymówka dopięła zamiaru.
Mruk dobrej wróżby, podobny do gwaru
Pierwszego lodu, gdy go łamią fale,
Obiegać począł zawstydzoną zgraję.
Nebaba ciągnąć mowy nie przestaje:
— „Odstąpić Szwaczki ja nie radzę wcale;
Gdy tak wygodnie przy tym atamanie, —
Któż ze mną pójdzie, a z nim nie zostanie?
Sam więc pośpieszę, gdzie mię niosą oczy,
Żwawszych do dzieła znaleść towarzyszy;
Jednak, co powiem, niech z was każdy słyszy,
I, gdy mu zda się, niech naprzód wyskoczy:
Komu rózgami ojciec zasieczony,
Czyja się panu podobała żona,
Komu najmilsza córka pogwałcona,[1])
Kogo zbawiono lubej narzeczonej, —
Na ojca boleść, na smutek matczyny,
Na hańbę dzieci, na łaskę dziewczyny —

[1]) tego wiersza i dwóch poprzednich brak w wyd. z r. 1828. Zostawiono tylko miejsce zakropkowane.

Tego zaklinam, wołam po imieniu,
Niechaj wyjedzie i stanie tu przy mnie!“
I tłum orężny mieszać się poczyna,
Jak zakłócona dmuchem wiatru trzcina.
— „Kto w pańskiem za to umierał więzieniu,
Że, jak pies podły, o głodzie i zimnie
Dla usług jego przemarnował lata;
Kogo najdroższa boli przez to strata,
Kto chce odemścić te krzywdy, te zbrodnie,
I tylko sobie odtąd żyć swobodnie,[1])
Zaklinam tego na zemstę, swobodę,
Niech idzie zaraz, gdzie ja go powiodę!“ —
Tłum wre nieładem, gwar nieładu rośnie;
Postrzegł Nebaba, jak wybór ochoczy
W gęstszych szeregach dokoła się tłoczy;
A więc z tryumfem zawołał donośnie:
— „Teraz, kto tylko mołojca ma duszę,
Kto się chce ogrzać przy zamku pożarze,
Kto chce opłukać pikę w polskiej jusze,
Kto chce zaśpiewać przy pańskim puharze,—
Idźcie do zamku! Ja drogę pokażę!“
A oko jego, jakby bitwy hasło,
Nagle w każdego zabłyszczało oku;
— „Wszyscy my, wszyscy, do Nebaby boku!“
Wrzące kozactwo dzikim tonem wrzasło.
Podobny odgłos wędrowca krew ziębi,
Gdy go wilczyca zwietrzywszy w puszcz głębi
Przeciągle wyciem ozwie się ponurem,
A za nią głodni zalotnicy chórem.
I razem głębie zastękały ziemi
Pod rumakami ciężko tętniącymi.
I długo, długo wrzało, nieprzerwanie,
A coraz ciszej i koni chrapanie

[1]) tego wiersza i pięciu poprzednich brak w I. wydaniu.

I chrzęst oręża i stękanie ziemi;
A ognie straży konały za nimi,
A echa puszczy wołały za nimi,
Kiedy huknęli piosenkę pochodu
Nowemu wódcy,[1]) co harcował z przodu.

10.

Pośród puszcz gęstwy, pośród jarów cieśni,
Mściwy Nebaba swoje szyki wiedzie.
Jak czuł koń jego, że na wszystkich przedzie!
Jak w piersiach jeźdźca rozigrane serce
Dzikiej, wojennej wtórowało pieśni!
Kiedy, myślami w przyszłość uniesiony,
Pożary w każdej dostrzegał iskierce,
Co błyska za nim, skoro lustro stali
Od miesięcznego oka się zapali;
Kiedy zwycięzkie odgadywał tony
W dzikich odgłosach wojennego pienia!
„Stójcie!“—Od wschodu dzień się zapłomienia.
Księżyc rumiany niby się krwią zbroczył;
W posępne chmury, jak do śmierci łoża,
Na cichych ranku wiatrach się zatoczył;
I, jak złej wieszczby, wyszła drżąca zorza.
„Stójcie! Słów kilka“. — Tu zemsty drużyna
Wkrąg atamana zawinęła kołem,
Gdzie się okrągli bezdrzewna równina
Śród ramion boru i przed boru czołem.
„Baczność! Coś wichrem zaszumiało w lesie.
Jeden to z naszych gęstwią się przerzyna.“
Pilnował skrzydła. Jakież wieści niesie?
Jego pierś robi, jego biegun w pianie.
Między drzew szumem słyszał otrąbianie.
Czyżby Polacy tak blizko być mieli?
„Wytrwałość, dzieci! Bądźcie tylko śmieli;

[1]) wyd. 1838: wódzcy.

Naszem to będzie, co mamy przed nami!
Pod samem miastem ten bajrak, czy wiecie,
Co się rozrasta pomiędzy jarami?...
Tam do godziny zmierzchu doleżycie.
Ja później[1]) będę, skoro do wieczerzy
Wezwie nas gwiazda, co w zamku na wieży!
No! w imię Trójcy! ruszaj, gdzie kto może!"
Jak w tuman iskier rozdęte płomienie,
Jak śpiących nagle przerwane widzenie,
Tak razem zgaśli zwinni jeźdźcy w borze:
Tu się w promięni tysiąc rozskoczyli,
Tu między pniami jeszcze majaczyli,
A tu i śladu po żadnym już niema;
Niby zaklętych pochłonęły drzewa
Przed śmiertelnego słabemi oczyma.
Pusto, — sam tylko duch boru powiewa.
A za nim nagie klaskają konary;
Pod nimi rumak majaczeje kary,
A na nim jeździec pręży pilne ucho:
Z tej strony trąbka zdaje się grać głucho;
Lecz głuchszy jeszcze słychać dźwięk z tej strony,
Ranne go wiatry krętym jarem wloką.
Jeździec posłuchał, pomyślał głęboko:
Jak mu nie poznać! To kaniowskie dzwony
Szczęśliwą wieszczbą do niego mówiły.
Razem się pomknął w sklepienia milczące;—
Wnet drzew sklepienia czczością się zaćmiły.
Jeszcze przez chwilę echa w czczości biły,
Lecz go już teraz nie znajdzie i słońce.

11.

Ponuro echa okoliczne trąca
Zamkowa trąba, wieczór witająca,
Gromadząc zbrojnych na modły wieczorne.

[1]) wyd. 1828: poźniej.

Wielkiem kościoła natury sklepieniem
Już, już, gdzieniegdzie, lampy wieków płoną.
Odkryto głowy, bronie opuszczono,
Utkwiono w ziemię spojrzenia pokorne,
Słów uroczystych słuchano z milczeniem.
„Amen!“ — I „amen“ powtórzono z skruchą.
Echa zamkowe ozwały się głucho:
„Amen“. — Ich „amen“ tak smutny, niemiły,
Jakby go po raz ostatni odbiły.
Zagrzmiał ryk działa i skonał śród boru.
Na wieży ogień zajął się strażniczy.
Milczący szyldwach ciche kroki liczy.
Po oknach błysły światełka wieczoru.
Mile zamkowa służebna drużyna
Wieczór, niestety, ostatni! zaczyna.
Jak błysk jej światła, ciche jej wesele,
Kiedy zasiędzie każda przy swem dziele.
— O, co za rozkosz obejrzeć[1]) te grona,
Gdy za prababek bawiły się pracą:
Tu gazy blaskiem złota się bogacą,
Jak biała zima, mrozem uiskrzona;
Tam czarodziejka, u krosien schylona,
Tchu nie da słyszeć, nie zwróci spojrzenia,—
I trzeba wierzyć, widząc jej oblicze,
Że blask tych oczu, to tchnienie dziewicze,
Cudowną władzą kwiat wiosny rozplenia.
W tej białych rękach drut jasny i gładki
Wydaje w mgnieniu różnowzore siatki,
Niby od wiatrów i z wiatrów tworzone,
Tak są przejrzyste i lekkie jak one.
A tutaj okrąg głośniejszej roboty:
Tutaj burzliwe furczą kołowroty,
Tutaj wrzeciono ze lnami miękkimi

[1]) wyd. 1828: obejrzyć.

Brzmieje nieznacznie i gwiżdże po ziemi.
A pienie w prostej, melodyjnej nucie, —
Lube, jak pierwsze miłości uczucie,
Ciche, jak łono, co nie zna kochania,
Tęskne, jak pamięć rodzinnej zagrody,
Pełne z tem miejscem, z tą godziną, zgody,—
Sferą harmonii urok ich osłania.

12.

Czy nie po panu zatęskniła pani,
Że między niemi, a nie kwitnie na niej
Ta, co na wszystkich kwitnie w pełni radość?
Słabość w jej oku, w jej obliczu bladość.
Jak chmur odbicie z mokrego dna stoku,
Wyziera dusza z poza łez w jej oku.
Cerę, co zgasła, wargę, co pobladła,
Z milczącą skargą mgła serca osiadła.
Czy się kto kiedy przypatrzył gangrenie,
Jak, utajona tląc w serca głębinie,
Na trupiem ciele wyjdzie małą plamą, —
Jak coraz szerzej, coraz ciemniej mgleje,
Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje?
Z młodej rządczyni smutkami toż samo:
Przez nieme wargi, przez ciemne spojrzenia
W mgłach coraz grubszych, widać, jak się wloką
A choć pierś westchnień, a łez pełne oko,
Jakby walczyły z niemi pierś i oko,
To łez nie puszcza, to więzi westchnienia.
Ach! pierwsza rozkosz tak bardzo nie zmienia!
Nie gasi jagód, nie mrozi spojrzenia,
Żałobą duszy czoła nie ubiera,
Ciężkiem westchnieniem piersi nie zapiera;
Ach! pierwsza rozkosz w lubego objęciu,
Kiedy kochana i kocha, dziewczęciu
Daje czuć duszę życia anielskiego.

Lecz kiedy słabą żądze gwałtu zbiegą, —
I co drugiemu sobie wypieszczono,
W zmierzłej lubości obca rozkosz skradnie,
Piekło natenczas wciska się tam zdradnie,
I śmierć zapładnia oblubieńcze łono.
Może, uważną pracą zaprzątnięta,
Zapomni smutku; usiadła za krosna;[1])
Może miłosna,[1]) może pieśń żałosna[1])
Posępną dumą utuli natręta, —
Jak się utula pieszczoszek wrzaskliwy.
Dobre dziewczęta rozpoczęły śpiewy.
Już na źrenicy[2]) łezka zabłysnęła:
Zbiera się, zbiera, toczy i stanęła, —
Jakby z pogodą igrać jej niemiło,
Jakby ją zimno smutku zamroziło.
Już dłużej swego ciężaru nie wstrzyma;
Powstała z miejsca, lecz tak martwa cała,
I znów stanęła z takiemi oczyma,
Jakby się w izbie obłędu lękała.
Wlecze mdlejąca zwolna krok rozchwiany
I obcym rzutem ciska się do ściany.
U okna przecie. Nadstawiła ucha:
Niby jej wietrzyk, co przez szyby dmucha,
Niósł od przyjaźni słowa pociech miłe;
Powoli widać w poruszeniach siłę,
Promyk nadziei w spojrzenia światełku,
Tęcza radości mgliła się z jej czoła.
Źle z nagłą zmianą! Pojrzała dokoła,
A wszystko przed nią w rozpaczy i zgiełku.

13.

Już po Kaniowie straszna wieść latała:
Jak się wzburzyła Ukraina cała,
Jak zdradą Gonty dobyto Humania, —

---

[1]) wyd. 1828: krośna, miłośna. żałośna. [2]) wyd. 1828: źrzenicy.

Ile tam mordów, ile krwi rozlania,
Jak samo Lachów zda się ścigać piekło,
A nigdzie schrony przed czernią zaciekłą.
Skoro wieczorem powstały tumany
Od nasępionej strony Zaporoża,
I mglistą bielą osłoniona zorza,
Z rózgą komety, jak lampa złej doli,
Gasnąć w obłokach zaczęła powoli, —
Zdwoił się w mieście przestrach niesłychany;
Głuszej się zdały bełtać Dniepru szumy,
Jęczeć okropniej wichry Ukrainy,
I groźniej ciemnieć sklepienia dębiny.
Jak po cmentarzu nieme duchów tłumy, —
Snują się milczkiem po ulicach miasta
Tłumy mieszkańców, trwogą omroczone;
A wieszczba klęski, w którą pojrzysz stronę!
Tam dziecię pyta: Skąd ten tuman wzrasta
I w takie kształty miesza się olbrzymie,
Jak Lucyfera wojsko w piekła dymie?
Cytnęła matka; wywróżyć się lęka.
Dwóch się przyjaciół zbiegła oto ręka, —
I zimno śmierci ich uściski ziębi;
Dwojga kochanków spotkało się oko, —
I męty śmierci widać w spojrzeń głębi,
I jęki śmierci z westchnieniem się wloką.
A topielicy skrwawione widziadło,
W skrwawionej szacie, ze skronią rozpadłą,
Ciągle Kaniowa przelatuje bruki,
W dziwniejszych ruchach, z dziwniejszymi huki:
Jak co się wyrwał z łona ziemi matki,
Nieprzetoczone unosząc ostatki;
Bo, jak nad trupem, krążą nad nią kruki.

14.

Z rękami w niebo płakał lud skruszony
Śród poświęconych sklepień Wszechmocnego;

Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
Księża śpiewali pokutnymi tony.
Kaniowskich dzwonnic jęczały wciąż dzwony.
W każdym ołtarzu światła wciąż pałały;
Nieocenione słano zewsząd wota:
Z drogich kamieni, ze szczerego złota.
Wielkie ofiary, bo i strach niemały!
Płakali wierni, płakali niewierni.
Wprzódy,[1] niżeli noc barwy poczerni,
Dzieci Solimy przed arką bożnicy,
Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,
Upadli na twarz w pogrzebowej bieli,
Jakby od gniewu bożego olśnęli;[2]
I, w pyle ziemi czoła ponurzywszy,
Podnieśli głucho lament żałośliwszy,
Niźli go słyszał świata wiek daleki
Na obcych brzegach babilońskiej rzeki.
I łzy Dawida z ich się ócz polały.
Szczere to płacze, bo i strach niemały!...
Syny mej ziemi, o rodacy mili!
Wy szczerej wiary nie dacie poecie
I sami pojrzeć na przyszłość nie chcecie,
Na ucztę długo tłumionej swobody.[3]
Wasi dziadowie widzieli te gody!
Dzwony ich były smutnymi świadkami,
Ach, zapomnianej zbyt prędko igraszki!
Kiedy ze stalą, jak z zemsty wachlami,[4]
Krew żywej piersi lano w trupie czaszki
I każdą łezkę, na pana wylaną,
Jej dymiącemi kroplami spłacano!!

15.

Długo, zbyt długo, myślom zastawiona,
Stała u okna młoda rządcy żona.

---

[1] wyd. 1828: wprzody. [2] I. wyd. olsnęli. [3] wiersza tego niema w I, wydaniu. [4] tak w I. wydaniu; następne mają: żagwiami.

Czy nie zły wicher szeptał ci Orliko?
Masz w oczach radość, ale radość dziką.
Ciężkieś westchnienie na łono stoczyła,
Jakby w obawie, aby skrytość cała,
Którąś w milczeniu tak długiem warzyła,
Wcześnie przestraszyć świata nie zechciała.
„Ho-ha!“ — Bicz klasnął, brząknęły łańcuchy,
Opadły mosty, bruk zagrzmiał, bicz klaska,
Rośnie po zamku, zbliża się grzmot głuchy;
„Ho-ha!“ — bicz klasnął, stanęła kolaska.
Raduj się zamku! rządca wesół wrócił;
Widać, że drogę prędką jazdą krócił,
Bo z wszystkich koni tak się opar dymi.
Ale z wieściami powrócił dobremi.
Skoro pomówił z kaniowskim starostą,
Wnet wyprawiono dwa oddziały naraz:
Jeden z nich Szwaczkę miał otoczyć zaraz,
A drugi ciągnie do Kaniowa prosto.
„Pan wojewoda z Gontą kończy dzieło;
Wkoło szubienic stawia tysiącami;
Opatrzne oko zeszło już nad nami,
By kres bezbożnej swawoli wytknęło!
Jemu więc do snu ufnie zdajcie życie
I w łoża wasze wstępujcie spokojnie,
Bo w świetle szczęścia oczy otworzycie;
Zaśniecie z wojną, wstaniecie po wojnie!“
Otóż i nowy goniec pędem zmierza.
Coraz pomyślniej. Przybiega z oddziału,
Co krążył Szwaczkę u Rosi nadbrzeża.
Bez hasła bitwy, bez jednego strzału,
Znikł on z obozem, — jakby wpadł do ziemi;
I tak bez śladu, że nasi zdumiali
Już nie wiedzieli, gdzie go szukać dalej.
Aż go odkryto między lasy tymi

I wkrótce przyjdzie do rozprawy z nimi.
Lecz męstwu naszych można ufać śmiele,
Że to spotkanie kres położy wojnie.
Więc dzwony, działa, niech głoszą wesele!
A zamek z miastem zasypia spokojnie."

16.

Już w głuchej nocy opóźnioną[1]) porę
Przyćmiona lampa słabo się rozżarza;
Tak po miesiącu okna różnowzore
Błyszczą w kaplicy pośrodku cmentarza.
Łoże małżeńskie, zapłonione blado
Światłem, co mdlało, buchało, znów mdlało,
Tak się w półcieniach dziko wydawało,
Jakby to łoże, gdzie umarłych kładą.
Po dniowym trudzie małżonek śpi mocno;
Zmrużonem okiem po co żona czuje?
Czy, jak duch dobry, jego snu pilnuje?
Zegar wybija dwunastą północną.
— „Czego to, gdzie to dzwony uderzyły?"
Porwał się nagle rządca przebudzony.
— „Zdało się tobie; to zegaru dzwony".
I oczy rządcy znów się snem zakryły.
Ale poczwara, przeczucie złowrogie,
Pod snu zasłony złośliwie się wkrada,
I, z bezzasadnych cierpień duszy rada,
Niewieścią w mężu ciągle budzi trwogę.
— „Czego to trąby tak nagle zagrały?"
— „Ach, Pan Bóg z Tobą! świat, jak umarł, cały;
„To zabrzęczała mucha obudzona".
I znów, od zmysłów popłoszone zgiełku,
Cichnące czucia wróciły do łona; —
Tak zgraja piskląt, od kani spłoszona,
Tuli się ufnie w matczynem skrzydełku.

[1]) I. wydanie: opoźnioną,

Usnął. Rządczyni wciąż mruga powieka:
Jak góra westchnień ciężkie dla niej łono;
I serce rwie się, jakby je męczono;
I pot gwałtownych miotań ją ocieka.
Cóż to tak przykro podrażnia jej oczy?
Czegóż[1] pot mdłości z jej się lica toczy?
Jakaż na pierś jej mogiła się tłoczy?
Czy to nie szatan igra z nią w beześnie,[2]
By owoc, którym pierś przeklętą płodni,
Wykołysany jej myślami wcześnie,
Stanął dojrzały na skinienie zbrodni?
Jaśniej i jaśniej błyszcząca źrenica
Razem w powiece pełno się rozświeca,
Podniosła głowę... wyżej, jeszcze wyżej.
Zezem[3] nasamprzód przeszyła śpiącego;
Potem swe oczy do ócz męża zbliży —
I długo trwożnie bada ruchów jego;
Ostrożną ręką serca w piersi bada:
Na piersi jedna, skryta druga ręka.
Patrzy na oczy, wstaje i usiada.
Znalazła serce, wstaje i uklęka.
Mignęła w ręku błyszczącem żelazem.
Mąż się obudził i zawołał razem:
„O jakże sny mię strwożyły niemiło!
Jakby się w zamku razem zapaliło,
Taką mniemałem widzieć błyskawicę.
A twoje czego tak błądzą źrenice?
Ciebie zmieszało moje pomieszanie.
Był to sen tylko. Prawda, sen niemiły;
Ale te myśli, co mię w dzień kłóciły,
Wróciły na noc. Śpij już, śpij, kochanie".
A więc usnęli. Biada temu, biada,
Kto nazbyt ufny w trwożną cnotę ludzi,
Przy swojem sercu, w swem łożu, układa

[1] I. wyd. czegoż. [2] I. wyd. bezesnie. [3] wyd. zyzem.

Serce, zatrute śmiertelną obrazą.
Usnął, a w ręku małżonki żelazo.
Bóg-że wie, kiedy i gdzie się obudzi!

17.

Pono nie we śnie rządcy biły dzwony,
Nie we śnie rządcy trąby grały głośno,
Nie we śnie rządcy płonęły pożary;
Trudno jest poznać śród nocy zgęszczonej,
Ale nad miastem jakieś dymy rosną
I zasłyszane wrą tam jakieś gwary.
„Czyż zaraz każde ma trwożyć zjawisko?
Milczenie nocy jest nocy kapłanką,
Milczenie nocy jest marzeń kochanką,
W niemem jej łonie próżnych mar siedlisko.
Com wziął za oręż, za tentnienie koni,
Ani to konie, ani błysk oręży.“
Szyldwach zamkowy, gdy oko snem cięży,
Tak sobie myślał i usnął na broni.
Lecz zawsze błyska, lecz zawśze coś dzwoni,
Niby blask stali, niby tentent koni;
I coś się wznosi, podobne do huku, —
Tutaj przed zamkiem, a tu już po bruku.
Razem zagrzmiało, razem zabrzęczało,
Zginąłeś, zamku. Piekło się zaśmiało!
Bramy rozbite, straż wycięta w chwili;
A hajdamacy w zamek się wtłoczyli.
I w tejże chwili srogość rzezi cała
Z blaskiem pożaru wkoło się rozlała.
Śród nocnej ciszy: wściekłych wrzasków wrzenie,
Tentent konnicy, brzęk broni, dział grzmienie,
Łupanych murów, baszt rąbanych trzaski,
Krwawe maszkary widne z każdej strony,
Pożogi, wiatrem rozdymanej, blaski,

Czarny sklep nieba łuną zakrwawiony,
Dzwony kaniowskie jęczące donośnie, –
Wszystko to razem wszczęło się i rośnie;
A głos watażki ryczy nieprzerwanie;
Wszakże to nie jest Nebaby wołanie.

18.

Tak drogiej chwili piekło mu zazdrości;
Żart sobie z jego zrobiło wściekłości,
Biesiadę w zamku Szwaczce przeznaczyło.
Już wojsko zbiegłe tentniało daleko,
Gdy mu się oko we śnie wytrzeźwiło
I zabłyszczało pod wązką powieką.
Jakże się ciężko, jak wściekle zadumiał,
Gdy się sam ujrzał na tę puszczę całą!
Dziełem to czarów z początku rozumiał:
Żegnał się, żegnał; — nic nie pomagało,
Teraz, jak było, poznał rzeczywiście
I wnet pogonią chciał lecieć[1]) za nimi;
Ale mu śladu nie da zwiędłe liście.
Więc się drogami puścił pewniejszemi
Wprost do Kaniowa. Skrycie tam przybyły,
Dla wrzącej czerni był to gość zbyt miły.
Bez trudu krwawe uiścił zamysły;
A wiódł rzecz swoją[2]) tak skrycie, tak śmiele,
Że skoro zorza[3]) północne zabłysły,
Już go ujrzano na powstańców czele;
I bramy zamku pod szturmem rozprysły!
A tak i na tych, co go odstąpili,
I na Polakach mści się w jednej chwili.

19.

„Hej, dzieci! dalej na pańskie komnaty!“
Ryknęły miedzią atamańskie płuca.

---

[1]) I. wyd. lecić. [2]) I. wyd. swoję. [3]) wyd. lipskie i następne: zorze

A jak grzmot działa gradem śmierci rzuca,
Tak czerń rozjadła rzuciła się tłumem,
Z piskiem wściekłości, z głowni skrzących szumem,
Na drzwi, na dachy, na ściany, na kraty.
A stare echo zawyło z przestrachu,
Kiedy po całym rozleli się gmachu
Drzwiami, oknami, wyłomami dachu.
„A teraz, dzieci, na rządcy pokoje!
On, widzę, zamknął przed nami drzwi swoje!“
Ale, jak siłą poparli drzwi całą,
Runęły z dźwiękiem przykrego gwizdnienia,—
Jakby je żywcem wyrwano z korzenia.
Czemuż ten kozak, co wprzód skoczył śmiało,
Jak śmiało skoczył, tak się cofnął z trwogą?
Cóżto ma znaczyć ta w ciele dyablica?
Ona nie słyszy, nie widzi nikogo; —
Takie spokojne jej oko, jej lica.
Przed nią trup leży w rozrzuconem łożu;
W ręku nóż trzyma, krew pieni po nożu;
A na niej całej skrwawiona koszula.
Ona ją bierze, macza w trupa ranę,
I żmie ją niby i niby wypiera;
Potem martwego pościelą otula,
Wymawia z cicha słowa ucinane,
Zbroczonem płótnem cała się wyciera
I wolnym krokiem idzie do zwierciadła.
Stanęła z lampą, w ręce konającą,
Spokojna, — tylko oczy się jej mącą.
Czerń rozjuszona własnie wtedy wpadła,
Gdy w tej postaci stała u zwierciadła.
I konające potępieńca oczy,
Gdy je śmierć grzeszna pod swe bielmo toczy,
Już oblężone katów piekła zgrają,
Piekielnych krain witane już cieniem, —

Nic groźniejszego widzieć nie zdołają
Przed ostatecznem na wieki zgaśnieniem.
Ta wpół kobieta, wpół grobów maszkara,
Z gasnącą lampą w rękach ubroczonych, —
Jakgdyby z gwiazdą swych dni policzonych;
Ten kozak za nią, co, jak zbrodni kara,
Choć piętnem mordu cechowany cały,
Przecież niewolnie staje osłupiały
Przed okropnością złoczyńców sumienia;
Ten blask pożaru, skrwawione tło cienia;
A ci mordercy, co w głębokiej dali
Pomiędzy nocą orężem błyskali:
Prawdziwy obraz pieczar potępienia!

20.

„Dalejże, dzieci! a wam co się stało?“
Był to głos Szwaczki świeżo przybyłego,
Gdy pozierano po sobie nieśmiało.
A choć na chwilę stanął i głos jego,
Onby się zaśmiał do dyabła samego.
„Ho, ho! nie wiecie, co to za dyablica,
Nie wiecie tego, — a mój nóż odgadnie.
Patrzcie, jak we krwi skąpał się już ładnie.
A choć tak we krwi, jeszcze się rozświeca!
Stójże mi, widmo![1]) Nóż to doświadczony
I poświęcony i dobrze ostrzony.
Rzuć go na wicher, co tańczy po drodze,
A gdzie się kręcił, świeżą krew zobaczysz!
Jeżeli tylko dotrzymać mi raczysz,
W Bogu nadzieja, dobrze cię ugodzę!“
Nóż błysnął, gwizdnął... Po niewieścim jęku,
Po smutnym lampy rozbryźnionej[2]) dźwięku,—
Głucho i ciemno. Kozacy zdumieli

---

[1]) powinno być: wiedźmo. [2]) I. wyd: rozbryznionej.

Jeszcze krwawego widma nie pojęli,
Kiedy ryk Szwaczki rozległ się olbrzymi:
„Podajcie głownię, co się o[1]) tam dymi!
Zniknęła larwa, to jej ślad te plamki...
Przyświecaj lepiej... bliżej... tu, do klamki...
Znać otwierała... wyszła temi drzwiami.
Już to nie dyabeł, co uciekł przed nami!“
O zmykaj, zmykaj! W zbrodniach tobie równi
Ścigają ciebie przy iskrzącej główni.
Skopcony ogniem, krwią ofiar ociekły,
Toczy się Szwaczka przed rozjadłą zgrają.
Tu jego usta: „łamać drzwi!“ wyrzekły; —
I tu drzwi nowe z zawias wypadają.
Długo trwać będzie ta igraszka dzika:
Ci dobrze gonią, ta dobrze umyka.
Zbestwiona pogoń drzwi po drzwiach wysadza;
Tu już stracili, tu znów krew ją zdradza,
Skoro o ścianę oprze się jej ręka;
Tu drzwi łupnęły; tu zasuwa brzęka;
Tu biegiem skorszym zbudziła podłogę;
Tu prawie słychać, jak serce jej bije;
Tu ją dokona przeznaczenie srogie,
Niech tylko drzwi te wyprze ramię[2]) czyje; —
Już to ostatni przytułek za niemi;
Chybaby szatan schował ją do ziemi!

CZĘŚĆ TRZECIA.

1.

Gdzież jesteś, duchu Nebaby?
Zjaw mi się znowu; znowu śpiew ci wznoszę.
Za te nikczemne świeckie powaby
Mieniałem, wietrznik, duszne me rozkosze;

[1]) wyd. lipskie i następne: ot. [2]) I. wyd. ramie.

I oto, z wstrętem przesytu,
Obojego tułacz bytu,
Nie wiem, gdzie się dziś obrócę,
Jak mojej pieśni donucę!...
Burze serca, burze losów,
Ogłuszyły mię na chwilę!
Losy piorunowały tyle!
Obyłem się z grozą ich ciosów.
I serce tyle wichrzyło,
Tak kochało, tak mi biło,
Że już omdlało, — czczość, mgłę zostawiło.
W tej czczości, w tem omdleniu,
Świat tobie, memu marzeniu!
Jesteś więc ze mną, witam cię, o cieniu!
A z łomu gruzów, śród morderców gwaru,
Wznosi się szatan falami pożaru
I w równi trzyma na wadze zniszczenia:
Rozkosze zemsty i zbrodni cierpienia;—
Dając mi porę, bym w czasie cofnionym
Puścił wzrok wieszczy za jeźdźcem zgubionym:
Otom go znalazł i oto go wiodę
Po zasłużoną jego dzieł nagrodę.

2.

Niepomnych czasów nieznana mogiła
W cieniach gęstego lasu się ukryła.
Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły,
Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
Ze sklepem dębu, co z lasów zarośli
Strzelał gałęzią[1]) widniej i wynioślej
Niż wieża Ławry, złotem błyskająca
Pośrodku dzwonnic kijowskich tysiąca.
Starszy brat sławnej puszczy Łebedyna
Niejednej puszczy plemię on zaczyna;
Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia

[1]) wyd. lipskie i następne: swym szczytem.

Tak się po jego przesuwały szczycie,
Jak tej piastunki, co chce uśpić dziecię,
Zmyślone groźby i głaszczące pienia.
Czy spiekłe lato piorunami sieje,
Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
Czy w nagich borach mroźna iskrzy zima, —
Korona jego ciągle zielenieje.
Niby mąż wieków w mogile tej leży,
Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana
I bohaterską posoką podlana,
Piastuje wieniec chwały, zawsze świeży.

3.

Nebaba senny pod nim odpoczywa:
Wpół zwiędły trawnik jest kobiercem łóżka,
Namiot z gałęzi, — ze mchu pnia poduszka.
Przykry świst puszczy piosenkę mu śpiewa.
A, kozackiego wartownik posłania,
Koń tylko wrony trędzlami[1]) podzwania.
Po miejscu wspomnień, po męża postawie,
Możnaby myśleć,[2]) że duch bohatera,[3])
O którym marzy ukraińska lira,
Tu, w pełni życia, zmartwychwstał na jawie.
Ale, śpiącego zajrząc wspaniałości,
Snu atamana niech nikt nie zazdrości.
Wejrzyj na lice: w ich się ruchu kreśli
Cała męczarnia skrępowanych myśli.
Zdawało mu się widzieć ogień z wieży;
Dosiada konia, — zebrać swój szyk bieży;
Ale na miejscu kozaków obozu
Spotyka stado wilków śród wąwozu!
Wtem głos Orliki, jakby gdzieś za górą...
Śpieszy ku niemu; światło, co błyszczało,...
To Ksenia w oczy patrzy mu ponuro;

[1]) I, wyd. trenzlami. [2]) I, wyd. myślić. [3]) wyd. bohatyra.

I kruków kilka w uszy zakrakało.
Zlał go pot rzęsny; — wymknąć się im sili,
Aż on harcuje na żelaznym pręcie...
Tu go przestrachu ocknęło wstrząśnięcie.
Lecz cóż postrzega w przebudzenia chwili?

4.

Człowiek spokojnie siedział sobie z boku.
Z brody sędziwej lata widać mnogie,
A, że nie widzi, z zapadłego wzroku.
Trzymał na nodze założoną nogę;
Na niej wsparł lirę i tonów próbował,
Niby przypomnieć piosnkę usiłował.
Kamrat Nebabie niebardzo przyjemny.
Więc z góry krzyknie, — ku starcowi skoczy:
--„Dziadu! kto jesteś? co robisz w tym borze?“
Zwolna, drwiąc nawet, odpowiedział ciemny:
— „Jak mowa groźna, taka twarz być może;
Dziękuję bogu, że mi wydarł oczy“.
I znów spokojnie wziął się do brząkania,
Jakby wszystkiego zbył tą odpowiedzią:
— „Nikt żartem nie zbył mojego pytania!
Bóg cię tu przyniósł, dyabeł nie wyniesie!
Starcze, kto jesteś? co robisz w tym lesie?“
I siłą starca pochwycił niedźwiedzią.
Ale w krwi zimnej lirnik jednakowy:
— „Puść strunę! urwiesz, a nie kupisz nowej.
Gdym już tak bardzo nieprzyjemny tobie, —
Ty widzisz dobrze, jam ślepy na obie; —
To zamiast gniewów i tego hałasu
Na trakt ubity wyprowadź mię z lasu,
Albo mię przeproś, daj grosz jaki w rękę, —
A na dobranoc usłyszysz piosenkę“.
„Dyabeł, nie ślepiec; w miejscu odpowiedzi,
Niezlękły groźbą, jak z kamienia siedzi“,

Pomyślał kozak, skrycie się uśmiechnie,
Bo już i gniewu uniesienie cichnie.
„Czemuż to, ślepcze, nie masz przewodnika?“
Już łagodniejszym zapytał się głosem.
Dziad się uśmiechnął. — „Hm!“ — mruknął po nosem:
„U mnie to kostur, co u kogo pika.
W słotę, w pogodę, czy to dniem, czy nocą,
Całą Ruś przejdę za jego pomocą.
A od Kaniowa aż do samej Smiły
Wszystkie pod ręką poznam ci mogiły.
Pień tobie każdy poznam nad mą drogą,
Każdą murawkę, co nastąpię nogą.
Ale kiedym się odbił od kamratów
I tutaj blizko smacznie odpoczywał,
Ktoś mi dziadowskich pozazdrościł gratów
I skradł kostura. Prawda, był okuty; —
Stanie za szablę. Czyś się już przegniewał?
Długi gniew grzechem. No, będę ci śpiewał
Na zgodę; tylko daj mi dwie minuty,
Że sobie lirę do głosu nastroję.
O! wszędzie, wszędzie, lubią pieśni moje.“
Nebaba ani zezwala ni wzbrania,
Więc lirnik zaczął po chwili brząkania.

5.

„Wypłyń, wypłyń z za obłoku!“
I nagle urwał w samym pieśni toku.
„Trzeba, bym wprzódy[1]) rzecz powiedział całą.
Historya długa, siądź tu, rzuć ratyszcze;
Długa, lecz pewnie twą pochwałę zyszcze.
Gdzie się to działo i z kim się to działo;
Trudno jest wiedzieć, — niekonieczne wreszcie.[2])
Może i nie chcesz. Dość, we wsi, czy w mieście,
Była dziewczyna z niepełnym rozumem.

[1]) I. wyd. wprzody. [2]) I. wyd. wreście.

Dawno chodziły wieści między tłumem,
Że nad jeziorem, w zarosłej ustroni,
Kiedy się wszyscy w chatach spać pokładą,
A noc na niebie błyśnie gwiazd gromadą,
Jasny latawiec spływa ogniem do niej.
Wszyscy to pletli, wszystkich to bolało,
Że o tym cudzie wiedzieli tak mało.
Ale z szatanem niebezpieczna sprawa.
A był tam chłopiec, sztuczka śmiała, żwawa:
Brząknąć w bandurkę, przylgnąć do dziewczyny,
Wywinąć tańca, coś spłatać, — jedyny.
Jak się rozszalał z drugimi chłopaki,
Przyrzekł, że dyabła na schadzce dostrzeże;
I dostrzegł. Czegóż nie dokaże taki?
Każdy to przyznał i ja temu wierzę.
Bo obłąkana drugiego wieczora,
Zamiast miłego czekać u jeziora,
Duszą i ciałem chłopaka się trzyma.
Aż niezabawem i łono się wzdyma...
I gdy już o tem pełne kumów uszy,
Ktoś wyjął z wody dziewczynę bez duszy.
Po żwawym chłopcu ni śladu, ni słychu.
Różnie to różni gadali pocichu;
Choć najpewniejsza utwierdza pogłoska,
Że ot w tem wszystkiem moc była czartowska!
Dyablich miłostek mieszać nie wypada.
Ksenia... ten język zawsze się wygada!...
Szalona, żyje. Ale choć, jak wprzódy,
Błądzi pomiędzy i lasy i wody,
I na noc całą przed gwiazdami siada, —
Nikt jej nie śledzi, nikt jej tam nie bada.
Bo niechaj z nami zostanie Duch święty,
W ciało niebogi wsądził się bezpięty.
Ale dojrzano kwitnące paprocie.

To i jej pieśni słyszano w ciemnocie.
Będę ci śpiewał, jakem nauczony.“
I nucił, w liry uderzając struny:[1])

„Wypłyń, wypłyń z za obłoku,
Po błękitnem przeleć niebie!
Ja kochanka wzywam ciebie!
W lasów ciszy, w nocy mroku,
Ho-hop, ho-hop! wzywam ciebie!

„Głucha ciemność wioskę kryje;
Zgasł kaganek w oknie chatki,
Sen zakleił oczy matki;
Moje serce bije, bije,
Do twojego serca bije!

„O północnej wyszłam porze,
Na burzliwą nie dbam porę;
Skoro mi blask luby gore,
Niechaj zgasną wszystkie zorze,
Całą noc przesiedzę w borze!

„Kiedy promień twych warkoczy
Spłynie na obłoki sinie,
Ziemia złotym dniem opłynie;
A mnie dusza, a mnie oczy,
A mnie serce szczęściem spłynie!

„Ho-hop, ho-hop! Ja, kochanka,
W lasów ciszy, w nocy mroku,
Radam do samego ranka
Wywoływać cię z obłoku.
Ho-hop, spłyń do mego boku!

„Wkońcu najpiękniej; chcesz, to ci powtórzę:
Ho-hop, ho-hop!...“
I musiał stanąć. Z ócz[2]) Nebaby błysku

[1]) wyd. lipskie: strony. [2]) I. wyd. z ocz.

Dawno już widać, co tam w myśli chmurze
I gromowego jak blizko pocisku.
Zdaje się, brakło ruszenia lub słowa.
Szczęśliwa dotąd, widać, stara głowa.
Ale w tej chwili schwycił go za ramię,[1])
Że mu jak szatan wypiec musiał znamię:[1])
— „Jak mi raz jeszcze to „ho-hop“ zawyjesz...
Słuchaj, przeklęty! czy już nadto żyjesz?“
Nie mógł dokończyć, bo rżenie wronego
Wezwało nagłej obecności jego;
Skoczył od starca, błysnął w ręku piką
I prędzej gęstwą przemykał się dziką.

6.

A koń, jak wryty, stanął niespokojny:
To wzrok zaiskrzy i nozdrze rozszerzy,
To znowu zarży, kopytem uderzy, —
Jakby go tchnienie obwiewało wojny.
Nic tu nie widać, nie słychać nikogo;
Chyba się listek odezwie pod nogą.
„Lecz karosz jeszcze nie trwożył mię próżno:
Nieostrożnego i Bóg nie uchował;
Złe się przechodzi pod postacią różną...“
I do lirnika myśli swe skierował.
„Trzeba go zbadać, podobno to zdrada.
Bo, choć się dziadem i ślepym powiada,
To drwiącym śmiechem wykrzywione usta,
Jeśli nie dyabła, zdradzają oszusta.
Ten głos donośny, sama broda biała,
Ślepota nawet coś mi się nie zdała.
Patrz, jak usłuchał! A przeciem mu wzbronił!
Jakby we dzwony swoje „hop“ zadzwonił!

---

[1]) I. wyd. ramie, znamie.

Trza go nauczyć, choć to siwa głowa!
Niech dla weselszych swoje żarty schowa!“

7.

Już kozak drogi do drzewa miał mało,
Kiedy w gęstwinie jeszcze się zaśmiało.
Teraz bezpiecznie szukaj go z latarnią!
Dokoła pusto: wszystko się ściszyło,[1]
Jakby lirnika ni liry nie było;
I kwiat, gdzie siedział, wstał już między darnią.
Stał Ukrainiec i w długim podziwie
Po razy kilka nabożnie się żegnał:
Jeśli to szatan, żeby go krzyż przegnał;
Jeśli szpieg, w starca przebrany kłamliwie,
Żeby mógł znowu dostać go do ręku!...
Lecz gdzie go śledzić, że tak wkoło głucho?
Ukląkł, przyłożył do mogiły ucho:
Tentnienie konia słychać w ziemi stęku.
Ha! myśl szczęśliwa kręci się po głowie!
Oko najlepiej z tego dębu powie.
Wstał: ale jeszcze uchem wiatru schwytał,
Raz jeszcze okiem gęstwiny zapytał —
I pod mszystemi zniknął gałęziami:
Tu pika błyszczy, kołpak czerwienieje;
A tu po dębie coraz bliżej wierzchu;
Gdzieniegdzie gałąź szeleśnie czasami; —
Aż oto razem postać zajaśnieje,
Gdzie sam szczyt drzewa tonie w ogniach zmierzchu.

8.

Darmo Nebaba wodzi orlim wzrokiem
Nad różnolistnym gęstych puszcz obłokiem,
Darmo okrąża po polu szerokiem.
Zawsze w pustynie czczości wzrok zapada;

[1] I. wyd. ściszyło.

Ani kurzawy po drożynie dziada.
Jak tylko zajrzeć,[1] wokoło tumany;
Snują się jary, wstają w piątrach wzgórza;
Śród nich gdzieniegdzie lasek się zachmurza;
Błyszczy dnia resztą dach zamku blaszany;
Błyszczy na prawo Dniepr, dołem rozlany.
W błędnej z tysiącznych węzłów plątaninie
Liczne się drogi na lewo rozbiegły:
To skrętnym wężem pełzną po wyżynie,
To się, jak wstęga, snują po równinie,
To w paszczach jaru giną niespodzianie, —
Aż razem znikną w dalekim tumanie.
  Tak tu wyraźny ten widok rozległy,
Że zliczysz wszystkie przydrożne figury;
A oczy lepsze dostrzec nawet mogą:
Gdzie jaki żebrak ciągnie którą drogą,
Gdzie koło błyska pośród pyłu chmury.
A dnia ostatkiem zachód pozłocony,
Pocieniowany lotnymi obłoki,
Jest jak zwierciadło tej ponętnej strony,
Z każdym jej cieniem, z wszystkimi uroki!

9.

Kogóż ten widok, kogo nie zachwyci?
Kiedy nad otchłań pognębienia wzbici,
Krążymy po niej spojrzeniem wpół-bożem, —
A, bliżsi nieba, czuć wyraźniej możem,
Żeśmy na samem dwóch[2] sfer pograniczu,
W swojej kolebki, w ojczyzny obliczu
Weselsza dusza żywiej tu promieni,
Jaśniej tu czyta w literach z płomieni,
Któremi Wieczny w tle chaosu cieni
Do swej potęgi dziedzictwa ją wpisał;
Z przed tronu Boga głośniej tu dolata

[1]) I. wyd. zajrzyć. [2]) I. wyd. dwoch.

Śpiew, co ją w łonie wieczności kołysał;
Głuszej tu jęczy płacz nizkiego świata;
Na dół, do ziemi, smutku kwef ponury,
Na dół westchnienie, co zawichrza duszą.
Łzy, sercu ciężkie, na dół tu ciec muszą; —
Jak nawałnice i deszcze i chmury,
Płyną do ziemi od niebieskiej góry.

10.

Co to Nebaba tak myśli głęboko,
Między gałęźmi oparty bez ruchu?
Czem'[1]) tak zasunął rozigrane oko?
Czy dąb, gaduła, szepce w jego uchu
Smutne powieści o klęskach tej ziemi, —
Gdy pod jej niebem sęp mordu ponury
Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
A z nim Tatarów napływały chmury?
O, nieraz może, na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona;
Niejedno może ta z liści zasłona
Przed srogą śmiercią wychowała[2]) życie.
Nie; w zadumaniu cichem i głębokiem
Puścił się kozak swoich dni potokiem.
Po jego myślach młody wiek przegania
W kwitnących barwach świetnego zarania.
Co za świat w ciszy rodzinnego sioła!
Gdy dusza grała ogniami jutrzenki,
A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
W kolej nadziei uchylała wdzięki.
Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło!
Jak dzień, skąpany w jeziorze rodzinnem,
Cicho, ponętnie, w marzeniach świeciło, —
Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole:

[1]) wyd. lipskie: czem. [2]) tak tylko I wydanie; wszystkie inne mają: uchowała.

Życie, — koń wrzący; świat, — kwieciste pole!
Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole, —
Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym;
Łzę utrapienia łza rozkoszy strąca;
I struna, w tony rozliczne bijąca,
Leniwiej smutne wesołymi zmienia,
Jak jego umysł swoje poruszenia.
Albo ten wieczór, ten ogień Kupały!
Po zwierciadlanej Biełozyrja wodzie
Mkną się rybackie z kagankami łodzie,
Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
Błękitna fala sypała kryształy,
Szum sosen mruczał piosenkę żeglugi,
Muzyczną miarą uderzały wiosła.
Cyt! płomieniami rozgorzał brzeg drugi
I wrzawa dziewic zewsząd się podniosła;
We mgnieniu oka ucichli żeglarze,
Złożyli wiosła: czółna w okrąg płyną.
Już w oczeretach syknęły gadziną.
A brzegi kipią w piosenkach i gwarze;
A tanecznice migającym cieniem
Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.
Wtem zaczajona młódź nagle wypada.
Nebaba huknął: Zdrada, siostry, zdrada!
Już po bałwanie! Z wianków oberwany,
Złamany, leży. Skończyły się tany,
Ucięto śpiewy, a mściwe dziewczęta
Całusem karzą śmiałego natręta.
A też pustoty!... Gdy wszyscy usnęli,
Widmo kobiety wysnuło się w bieli...
  Dziką piosenką serce zaśpiewało,
Blask obłąkania strzelił ze źrenicy:
Kozak na chwilę zniżył skroń ściemniałą,[1]) —

[1]) I. wyd. sciemniałą.

Jakby chciał przetrwać, aż ucichną pieśni,
Aż mu natrętne widziadło się prześni.
Czyż taka pamięć pieszczot, miłośnicy?
Darmo nie ścieraj z czoła mgłę natrętną,
Nie stawiaj myśli na spojrzenia warcie.
Raz jeden zbrodni wyciśnione piętno,
Jak blask fosforu, czyści się przez tarcie.
Choć w całun duszy twe się oko wprządło,
Zawsze nieczystych miga się w niem żądło.

11.

Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
Pomiędzy borów majaczeje głuszą:
Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca,
Szyderski uśmiech kazi hoże lica;
Wszystko kipiące, od serca począwszy,
Aż do rumaka, co go, gdzie chce, niesie;
Jak w duszy jego, posępno w tym lesie;
Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.
Z piąter na piątra, z gór na góry drze się;
Za każdym krokiem rosną w nim tęsknice,[1]
Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
Aż oto nowa zajaśniała chwila
I cienie troski ciągle mu umila,
Jak noc wieczności zorza zmartwychwstania.
Cóż to za dziwna strona się odsłania?
Tu, pod nogami, na równi poziomej:
Moszen, spojrzeniem policzone, domy;
Irdyń, drzemiący w spleśniałej głębinie;
Wiecznie z wiatrami sporne oczerety;
Jak rozsypane zielone bukiety,
Drzewa i sady i gaje w dolinie.
Tam błyskający jasnemi zwierciadły,
Tu w gardła jaru, jak w otchłań zapadły,

[1]) I wyd. tęschnice.

Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
A tu się znowu wylał z bioder góry.
Dalej piaszczyste pozłocone morze;
Dalej bór spływa po spiczastym szczycie,
Podobny strzępnej narodowca kicie.
A jeszcze dalej i dalej i bliżej,
Góra po górze, bór idzie po borze;
Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,
Plączą się, mącą, rozchodzą, zbiegają,
Niepoliczoną, nieobjętą zgrają,
Wioski i grody, pustynie i laski,
Jary i góry i łąki i piaski.
A coraz dalej stepy piasku bledsze,
A coraz dalej lasy błękitnawsze,
A coraz dalej dymniejsze powietrze,
I nieba niższe, — a mgły, a mgły zawsze.
Ileż swobody uniesień[1]) rozwinie
Jeden tu widok, w jednej tu godzinie!
Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,
Co tam za strony! gdzie w tumany sinie,
Wiecznie drzemiące, fala Dniepru płynie?
  Orzeł niech powie, co pod niebem krąży;
On wyżej buja i jego źrenice
Wyraźniej widzą tamtą okolicę;
O Zaporożu niechaj on opowie:
Jak tam rozlegle panują koszowi;
Jakie tam wieczne hulanki i wola;
Tosamo słońce jak tam rozpromienia
Porozsiewane gwarne ich kurzenia.
A tabun pędzi ze rżeniem na pola,
A Zaporożec na swobodnym koniu,
Jak jego myśli, ugania po błoniu;
Jak wicher stepu, jego pieśń tak dzika.
A tam po Dnieprze łódka się przemyka:

[1]) wyd. lipskie: uniesień swobody.

Lekka i chybka i szybka, jak fala,
Leci za nurtem po szklanej równinie;
Wpadła na poroh; ze skał się przewala;
Zapadła w głębię... przepadła... aż zdala
Pęka wód kryształ, — łódź jak łabędź płynie.
„Przeszło co było! i, co będzie, minie!"
Ockniony z myśli ataman zawoła;
„A co być musi, niechaj się już staje!
Kozacy tęsknią i ogień goreje!"
Spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła.
Na szumie wichru przemknął się przez knieje;
Już pod bajrakiem i już hasło daje.

12.

Poznała hasło kozacza drużyna,
W gęstwie bajraku dotychczas drzemiąca.
Lekkie gwizdnienie biegać w krąg poczyna
I ciszę zmroku powoli zamąca, —
Ale nie głośniej, nad[1]) szum między drzewy,
Gdy wstaje chmura nawalnej ulewy.
Prędko, spokojnie wszystko się odbywa;
Bo i pochodu młodzież niecierpliwa
I atamana rozkaz wykonywa.
Nie śmie złowiony koń zadzwonić w pęta;
Nie śmie stal brząknąć do boku przypięta.
Natrętna innym gałązka przydrożna
Kozaczej czapki nie dotknie, ostrożna.
A z jaką ciszą do zbroi się brali,
Z taką, już zbrojni, z lasu wyjechali.
Czekał ataman, kołpakiem omglony;
Pod atamanem kopał ziemię wrony.
Dał znak, mołodcy obwiedli go kołem;
Podniósł kołpaka, powiódł śmiałem czołem:
„Panowie bracia, czas nam ruszać dalej!

---

[1]) wyd. wrocławskie i lipskie: jak.

Droga daleka, gwiazda się już pali,
A zamek czeka z łóżkiem i wieczerzą!
Więc z Bogiem naprzód! Niech koń w pęcie dłużej,
A noże we rdzy niech dłużej nie leżą.
Szlak wiemy dobrze, choć się niebo chmurzy.
Aby dłoń sprawna i pika niekrucha,
To za godzinę do Dniepru popłynie
W dyable ochrzczona, niewiernych psów jucha!
Naprzód, kozacy, spoczniem po godzinie!“[1])
A nie chcąc dłużej rozwlekać się słowy,
Pokazał ręką na ogień zamkowy;
Świsnął[2]) i wprzód się wysunął, aż miło,
A wojsku chęci we dwoje przybyło.

13.

Niezbyt daleko jeszcze odjechali,
I widać jeszcze przez mroku zasłonę,
Gdy śpiew się ozwał w międzyleśnej dali.
Zwrócono oczy i uszy w tę stronę:
Pieśni znajome, ich słowy złożone.
Patrzą ciekawi, co się dalej stanie,
Patrzą do lasu; ucichło śpiewanie,
Aż i dwóch jezdnych, szłapiąc wolnym krokiem,
Zamajaczyło między szarym zmrokiem.
Ile w ciemności dopatrzyć się można,
Kozaczą burką opięci się zdają
I długie piki, zda się, w ręku mają.
Ale we wszystkiem trzeba iść zostrożna;
Na znak Nebaby czterech[3]) wyskoczyło.
Rozpoznać zblizka, coby to tam było.

14.

Już powrócili; dobrze się sprawiono.
„To niedobitki, ojcze atamanie!

---

1) wiersza tego i trzech poprzednich brak w wyd. lwowskiem z r. 1828. 2) I. wyd. i następne stale: świstnął. 3) I. i II. wyd. czterych.

Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie;
Tabor tam naszych ze szczętem zniesiono.
A tym dwom jakoś to trzciny Irdynia,
To okoliczna pomogła pustynia,
Że się wymknęli, upatrzywszy porę;
Ale ich serce i dziś na bój gore.
I gdyby można, toby sobie radzi
Tu pohulali... A więc z dobrej chęci
Proszą, by u nas mogli być przyjęci.
Nam się też zdaje, że to nie zawadzi.
Przyjm ich, prosimy, do swojej czeladzi".
Coś pomyślawszy, zezwolił wódz na to,
Bo dwóch nareszcie ni zyskiem, ni stratą.
Kozacy, radzi z nowych towarzyszy,
Ruszyli dalej w porządku i ciszy.

15.

Wieczór gęściejsze rozsiewa tumany,
Brudniejszym niebo obłokiem zaciemia,
Z ciemniejszem niebem zasępia się ziemia;
Toczą się szlakiem obłędu bałwany.
Chropawym torem, w ślepiącej ciemnocie,
Orężny orszak bacznie się posuwa;
Daleki ogień, co na przodzie czuwa,
Dodaje bodźca wojennej ochocie.
To na zamkowej wieży się paliło;
Kochankom wojny tak go widzieć miło,
Jakby się w oko dziewczyny patrzyli,
Gdy je nadzieja rozkoszy umili.
I dalej hufcem ściśnionym stąpali,
Ciągle milczenie zachowując dzikie,
Nadzieję mordu mając za muzykę,
Za wtór stęk ziemi i brząkanie stali.
Cóż się tam dzieje z myślami Nebaby
Teraz, gdy zemsty dostępuje szczytu?

Musi mu jaśnieć wszystkimi powaby;
Teraz to musi w rozkoszy zachwytu...
Ej, ile można miarkować po czole,
Po dosłyszanem zazgrzytaniu szczęki, —
Znośniejsze serca zdradzonego bole,
Gdyby się pojął, niż te zemsty wdzięki.
Czegóżby marzył po tryumfach noża
O błędnem życiu w stepach Zaporoża?
I czegóż w myśli tak brnąć, że pomału
Jakby w sen zapadł, — jakby w śnie się rzucił,
Gdy pistoletu wystrzał go ocucił.
„Kto tam wystrzelił?“ — wnet groźnie zawoła.
Pilnie patrzano po sobie dokoła; —
To aż w ostatnich szeregach oddziału.
— „Droga tak ciemna, koń się spotknął w chodzie.
Przeklęty kurek źle trzyma na zwodzie,
Aby go dotknąć, to zaraz i pryśnie“.
— „Niechajno każdy pistoletu strzeże!
Bo czy umyślnie, czy to nieumyślnie,
Raz ja ostatni w ten przypadek wierzę!
Nie przetrze oczu, jak plunę któremu!
— Hej, kto wie drogę, niech jedzie przed nami!
Wy, z bystrem okiem, biegnijcie stronami;
A tył oddziału wręczam pod straż temu.
Wróg, — bodaj mara; a wystrzał przestroga!“
— „Pozwól się prosić, ojcze atamanie“.
Podchwycił kozak, co w tej chwili stanie:
„Każda mi znana pod Kaniowem droga,
Niejedne wiozłem tu listy, a wprzódy
Nie raz tu nie dwa wypasałem trzody.
Wybierz mi oczy, jeszcze i w tę chwilę
Na krzyż przysięgam, że o krok nie zmylę“.
— „Zanadto mowy; lecz kiedyś ochoczy,
Więc prowadź. Zawsze ku temu ogniowi;

To nam gospoda". Tak Nebaba powie.
A zwinny kozak przed wszystkich wyskoczy:
Westchnie, — przez piersi święty krzyż położy;
A za nim reszta; — i dalej, w czas boży!

16.

Ciemnymi szlaki wywijając kręto,
Nad jar głęboki przerznął się Nebaba.
A już i jasność miesięczna, choć słaba,
Biła ze wschodu w chmurę nasuniętą,
I widzieć w cieniach wyraźniej zaczęto.
Gęstemi trzciny szeleści jar na dnie;
Woda gdzieniegdzie drzemie śród bagniska,
Chwilkę jaśniejszem zwierciadłem zabłyska,
Gdy drobna gwiazda z za chmur się wykradnie
I w srebrnych iskrach na jej marszczki padnie.
— „Patrzcie-no! co to tem wzgórzem ciemnieje?"
— „To powyż jaru podnoszą się lasy".
— Lasy w tych stronach, a ja znam te strony.
Może;.. słyszycie ten szum przytłumiony?"
— „To aż za Dnieprem biesiadują knieje".
— „Nie, bracia, kłamstwo! to coś jak hałasy".
Ale gdzie kozak, co przed atamanem
Po błędnej drodze jego hufiec wodził?
Czy w czarodziejskiem kole się ogrodził?
Czy jak widziadło rozwiał się tumanem?...
Byłże to Polak, przykryty kołpakiem,
By nieostrożnych naprowadzić w siatki?
Badał i lubo śród przykrej zagadki
Dreszcz, co oziębia, przebiegał po ciele,
Żadnym nie zdradził podejrzenia znakiem;
Tylko zawołał na swoich i śmiele
Puścił się z góry, jak gdyby skrzydlaty.
Podwójny wystrzał błysnął, zagrzmiał w tyle;
I jęk śmiertelny ozwał się za chwilę.
„Stój, atamanie!" — leci jeden z czaty.

„Zdrada od Lachów! Już nasz jeden zginął;
Ledwie dał hasło, pod koniem się zwinął;
Takim go smacznym przywitał nabojem
Czart, zaczajony w kudły naszej burki;
A teraz z wojskiem połączył się swojem,
Co już nam odwód przecięło na wzgórki.
Słyszysz, — czy widzisz, co się to zaczyna?“
Zaledwie skończył złej wieści posłaniec,
Kozacy na dół runęli nawałą,
Aż zastękała w dnie jaru głębina;
A z góry, chmurą gromami nabrzmiałą,
Zwolna bagnetów następował szaniec.
Wpół chmurny księżyc pozierał nieśmiało:
Rzęsne się błyski sypały z oręża;
A szyk doborny, koń w konia, mąż w męża,
W nieprzełamanym i niemym szeregu
Sunął po jarów górującym brzegu.
Tylko szeleści sztandar rozwiniony,
Jakgdyby szeptał już naprzód pacierze
Po duszach, które śmierć za chwilę zbierze;
A czasem trąbka wrzaśnie w przykre tony.

17.

Jak ta na wstręcie zaburzonej fali,
Co przez dnieprowe porohy się wali,
Skała śród szumu stoi niezachwiana, —
Tak się wydaje postać atamana,
Kiedy, zepchnięte nieprzyjaciół siłą,
Wojsko się jego dokoła stłoczyło:
„Stójcie!“ — zakrzyczał, — „podstęp nie wygrana.
Prawda, że wrogi stoją nam na tyle,
A dla nas przykre, co nie w zamku, chwile;
Lecz tu potrzebne choć bitwy udanie.
I ani możem wątpić o zwycięstwie!
Znać nie ufają ni w sile ni w męstwie,
Gdy tu, w tej porze, godzą na spotkanie.

Niechajże z tyłu gotują nam tamy,
A my na górę przed siebie ruszamy.
Ciemna noc równie obu wojskom sprzyja.
Dalej na góry, gdzie przeprawa czyja!“
Już się wypuścił; aż tu jednym razem
Burzą wojenną powietrze zawrzało:
Ryknięto w trąby, brząknięto żelazem, —
Blade się łuno po nocy rozlało
I gradem śmierci wokrąg zaświstało.
Spojrzał Nebaba i wstrzymał się w biegu. —
Tak go gwałtowne objęło zdziwienie:
Polacy stoją na oboim brzegu
I ślą ku niemu ogień bez przestanku,
A on się widzi w płomienistym wianku.
„Zdajcie się, zdajcie! kornym przebaczenie!“
Na wszystkie głosy Polacy wrzasnęli.
Patrzą po sobie kozacy zdumieli.
Lecz wódz nie daje do myślenia chwili,
Więc ich przykładem i mową posili:
„Nic to. nic, bracia! damy ład wszystkiemu!
Zaraz tu wszystkich popędzimy w bagno.
W sercach im zatknąć broń, której tak pragną!
Nic to, nic, bracia, huknijcie po swemu!“

18.

Czy duch, co lubi wspierać ludzi zbrodnie,
Śród nocy piekła podniósł im pochodnię
I do ich serca zagrał swą muzyką, —
Że takie grzmoty ryknęły tak dziko,
A na świat ciemny, na sklep nieba cały,
Tak niezwyczajne błyski się rozlały?
Grobowa cichość nastała po wrzawie:
I oba wojska, w posągów postawie,
Z bezwładną ręką opuściwszy bronie,
Oczy ku jednej obrócili stronie, —

Jakby na karku nikogo nie mieli;
I wkrótce dziwniej, niż wprzódy, huknęli.

19.

Jakaż nagłego postrachu przyczyna?
Była to właśnie okropna godzina,
Kiedy wpadł Szwaczka na zamek dobyty,
A pożar zaczął trawić jego szczyty.
Z jaką radością przyjmie konający
Cudem odkrytą zbawienia nadzieję,
Z taką Nebaby wojsko wieść przyjęło,
Że ich pożarem zamek już goreje.
„Ot i przypadek sprzyja nam niechcący!
Teraz się szczerze weźmijcie za dzieło!
Niebo, mołodcy, niebo nam pomaga!
Jeszcze godzina i stała odwaga,
A na złość liczbie wyjdziemy zwycięzko!
Patrzcie, jak jedną strwożeni już klęską!
Hej, dwóch najżwawszych na lepszych rumakach!
Skoro staniemy na tym góry grzbiecie,
Pokłon do zamku od nas poniesiecie!
Niechaj tam pomną o braciach kozakach!
A teraz, kiedy Lach się trzyma słabo,
Dalej, mołodcy, dalej za Nebabą!“
I poszli wszyscy na miecze, na spiże,
I znikli, w walki zakręceni wirze.

20.

Jakgdyby oko zagniewane boże
Całkiem w płynący ogień się stopiło,
Z taką wściekłością, z tak rosnącą siłą,
Wrzało nad zamkiem płomieniste morze.
Pożar, w podziemne zakradłszy się lochy,
Buchał, jak z paszczy kłębami brudnymi;
W skrytych podkopach zapalone prochy,
Jak grom więziony, darły wnętrza ziemi.

Leżały wieże, czarne ziejąc dymy,
Jak obalone na ziemię olbrzymy;
Jak przeklętego Lucyfera skronie,
Pałały dachy w ognistej koronie.
A echo piekieł, umarłych jęczenia, —
A głazy, siłą ciskane płomienia, —
Tańcem i pieśnią tej uczty zniszczenia.
Wiadomość zrazu głucho się roznosi,
Coraz głośniejszym rozlega się gwarem:
Nebaba walczy nad poblizkim jarem
I przez posłańców o posiłek prosi.
— „Kto wasz wódz?“ — „Szwaczka“. — „Gdzie jest?“ — [„Na zabawce,
Przywodzi godne swej woli oprawce“.
Tam, tam, gdzie słychać pośród murów rumu
Razem przekleństwa i śmiechu hałasy,
Szwaczka na czele rozjadłego tłumu
Z uporem w rdzawe szturmuje zawiasy.
Jedna tam słaba kobieta się tai.
Już najmocniejsi, jacy są w tej zgrai,
Popróbowali swoich barków siły
I z wściekłym wstydem wracali od pracy.
Aż Szwaczka krzyknął: „Oto mi kozacy!
A was by gnuśnych baby wydusiły!
Jeszczeż-no plecy naprężą się stare.
Bo chcę serdecznie ścisnąć tę maszkarę.
Ale, panowie mołodcy, za karę
Nikt jej przedemną dotknąć się nie waży!“
Wtem kark barczysty z pod burki odsłoni,
Podsadzi ramię, razem drzwi podważy;
Drzewo zazgrzyta, żelazo zadzwoni:
Przejście swobodne: już wpadną! już po niej!
— „Giniecie, bracia! ratuj się, kto umie!“ —
Okrzyk przestrachu rozlega się w tłumie;
I wnętrze zamku zawyło przestrachem.

Prysnęły głownie, płomienie buchnęły,
Wstrzęsło ścianami, zaskrzypiało dachem, —
I dach przetlały runął między ściany.
Jeszcze okrzyki skonania wrzasnęły;
Prysnęły głownie, dymy wybuchnęły;
Wirem się wzniosły ogniste bałwany;
Chwila, — i wszystko milczy pod pożogą;
Przetlona głownia cicho dogorywa,
Cicho dym wstaje, płomień się dobywa, —
Jakby tam nigdy nie było nikogo!

21.

A w gardle[1]) jaru, jak wrzały, tak wrzały
Dźwięczące cięcia, ryczące wystrzały
I zgiełku męży wyjąca muzyka.
Niejeden jeździec zwinął się bez głowy,
Niejeden leżał pod ciężarem konia,
Niejedna z ostrzem rozstała się pika,
Niejeden w bryzgi poszedł miecz stalowy, —
Nim, przepełniwszy bagniste parowy,
Powódź się wojny rozlała na błonia.
I któż[2]) jest w sile, z żyjących na ziemi,
Ogarnąć pięciu zmysłami słabymi
Ten taniec mordu, jaki wyprawiły
Wszystkie uczucia, wszystkie człeka siły,
W jedno uczucie, w rozpacz, przerodzone?
Dzięki połyskom, co z pożaru biją,
Że czasem nocy uchylą zasłonę!
Większe ciemnościom, że je znów zakryją!
Noc to okropna, noc to piekieł była;
Starzy z powieści prawią o niej siła.
Gdyby nam dzisiaj taka się przyśniła,
Miękkie sny nasze na długoby struła! —
Jedna jej tylko istota nie czuła.

[1]) I. wyd. i następne prócz ostatniego lwowskiego: garle itp. [2]) I. wyd: któż

22.

Gdzie wzgórek strzela nad szczyty czaharu,
Do omglonego podobna widziadła,
Nad sceną wojny spokojnie usiadła.
Albo to dziecię śmierci i pożaru,
Albo zbieg będzie ze krwi i płomienia:
Jaśnie w tem świadczą skrwawione łachmany,
Skroń rozraniona i włos rozczochrany.
A że ustawnie podnoszą westchnienia
Tę dłoń, co mocno przyciska do łona,
Musi być biegiem gwałtownym zmęczona.
Pewnie strwożonej grozi losów cisza, —
Lub swej niedoli śledzi towarzysza,
Bo tak ciekawie poziera dokoła.
„Ho-hop, Nebabo“. Opętanej słowa!
A w głębi lasu odhuknęła sowa;
I wilk jej wyciem napowrót odwoła.
Że zrozumiana, jakby z tego rada,
Dziwacznie suknię i włosy układa.
I, wzrok utkwiwszy w bitwę, co na przedzie,
Dziwny śpiew tonem dziwniejszym zawiedzie.
Nie ludzkim uszom, śpiew piekłu znajomy.
Rosnące w jarze zgłuszyły go gromy;
Za echo wojny ozwało się wycie.
Czekaj na gwiazdy kochanej przybycie!
To nie armaty ogniem śmierci błysły, —
To twój kochanek rozsiał swe promienie;
A to nie kule śmiercią obok świsły,
To było znane miłego gwizdnienie;
Oto i on sam, cały z ognia, płynie
W tej chmurze dymu, co mroczy pustynie.

23.

Ostatnim rykiem, ostatnim płomieniem
Buchnął jar wreszcie z rozdartej paszczęki;

Otchłań bezdenna nieskończonej męki,
Dusz potępionych syta złorzeczeniem,
Nie straszniej rzygnie[1]) przed świata zniszczeniem.
Łuno pożaru, strzelby błyskawica,
Co ten ofiarny dyabłom stos podnieca,
Blaskiem południa jaśnieje tu prawie;
Ale w tym zmęcie, w tej dymu kurzawie,
Nie można wiedzieć, kto z Lachów, kto z Rusi;
Tylko jednego poznać każdy musi.
Gdzie kilku razem w śmierci bolach jęczy,
Tam atamana żelazo połyska;
Gdzie prze koń jeden, a szereg, jak fala,
Cofa się w kręgu płynących obręczy, --
Tam atamana wrony koń się ciska.
Błyskami wojny cięcia swe zapala;
Gromami wojny wszystkie zbiega strony;
Zda się, że z każdą kroplą krwi toczonej,
Co mu dłoń poi pałasz ubroczony,
Serce rozjusza i szablę nastala.
Ale dłoń jedna i jedna odwaga
Nic nie stanowi albo mało znaczy
Tam, gdzie za mnóstwem przechyla się waga;
Cała tam korzyść śmierć z chlubnej rozpaczy.
Z dosyć szczupłego Nebaby oddziału
Jeden za drugim ubywa pomału...
Choć przy niewoli, co u Lachów czeka,
Sama śmierć widna jest jeszeze powabną;
Z boleścią jednak postrzegł on z daleka,
Jak szyki jego w nacieraniu słabną.
I wzrok mu zaćmił jakiś zamiar dziki,
I wnet radości błysnął promieniami;
„Krzepcie się, bracia!“ — woła, leci w szyki.
„Bóg pomoc niesie, zwycięstwo za nami!
Patrzcie, to nasi! jak, podobni chmurze,

---

[1]) wyd. lipskie i następne: ryknie.

Patrzcie przed pożar, suną się po górze.“
Buchnęła walka, zagaśnienia blizka,
I serca znowu mordem zakipiały.

24.

Zadrżał ataman. Cóżto za zuchwały
Natrętną szablą przed oczy mu błyska?
Dwa razy natarł, dwa razy odskoczył,
Dwa razy koniem wokoło zatoczył, —
Upatrzył porę, spuścił szablę razem,
I z atamana spotkał się żelazem.
Ostrze na ostrzu zaiskrzy, zadzwoni;
Żołnierz wkrąg strzeli okiem zadziwionem,
Aż szabla gwiazdy błysnęła ogonem,
I gdzieś daleko świsnęła mu z dłoni.
Najlepsza tutaj porada przestrachu:
W pole przed siebie puścił się z kopyta.
„Zmykaj, nie zmykaj, mój ty śmiały Lachu!
I kary także o drogę nie pyta.
Jeszcze się żaden przed nim nie wysunął!“
A wiatry w tyle zostawia koń wrony,
A błyskawice pałasz wyniesiony.
Gdyby w biednego żołnierza tak runął...
I on nie taki trwożny, jak się zdało;
Na jednem miejscu zwinął koniem śmiało.
Może on nie chce śmierci przyjąć w plecy?
Bo skądże tutaj nadzieja pomocy?
Od reszty swoich oba tak dalecy.
Jakiś tu zamiar pokrywa cień nocy.
Lotem spojrzenia ataman dobiega,
Gwizdnieniem szabli wpół rozdmuchnie Lacha;
Trzasnął grom skryty, zajęczała płacha,
I po powietrzu tysiącem drzazg miga.
Lach dalej świsnął, a koń atamana
Aż ziemię zapruł kutemi kopyty;

Tak lejc go zerwał, — i stanął jak wryty.
A twarz Nebaby jakby jedna rana; —
Tak ją strzał opluł i szabla strzaskana.
A krew kroplista, płynąca zasłoną,
Zbroczyła oczy, opada na łono;
Leje się w usta, przepływa przez oczy,
Gasi spojrzenia, oddechy tamuje. —
Darmo trze oczy, darmo usty pluje, —
Rumiane źródło falami się toczy.
Darmo dłoń kala, darmo suknie broczy:
To krew niewinnych, nic jej nie zhamuje!
Co przetrze oczy, co ustami splunie,
Krwawa zasłona znowu się zasunie;
Potępionego prawdziwa męczarnia!
A tu Polaków okrzyk się rozlewa:
„Nasza wygrana, posiłek przybywa!“
Teraz już całkiem wściekłość go ogarnia;
Opuścił ręce, schylił nadół skronie, --
Jakby śmierć sama mrozem swych piszczeli
Przygłaskiwała do wiecznej pościeli.

25.

— „To on, on-to sam!“ — w dobrze znanym tonie
Cichy się głosek odezwał na stronie,
A wyraźniejszy, gdy się zbliży trocha:
„Przyszedł popieścić... On mię zawsze kocha.“
— „Czy i ty!...“ krzyknął, nie mógł skończyć mowy,
Krew mu ustawnie zalewała usta;
Przerywanemi tylko jąkał słowy,
Gdzie się zdradzało zimnej krwi udanie
I niewstrzymanej złości obłąkanie:
„Dyable!... kocham cię!... Ta krew... Kseniu!... chusta...
Zsadź mię... przeklęta!... Daj rękę... o droga!...
Gdzie serce!... dyable!... gdzie serce, kochanie!“
I na bełkocie skończył mowę całą.
Jak ostrze noża przykro zaskrzypiało!...

I jęk śmiertelny wydała przebita.
Liczne wokoło zagrzmiały kopyta;
Otoczyli go polskie wojowniki.
Poddaj się, poddaj! nie pora do piki;
Już marsz zwycięzki muzyka uderza.
Omdlały kozak, z uczuć zaburzenia,
Z przewlekłej walki, ze krwi upłynienia,
Upadł na ręce pierwszego żołnierza.

26.

Nastała cisza po hałasie wojny;
Spokojne pola, zamek już spokojny;
A niedotlałym ogniem oświecony
Prosi przechodniów z każdej świata strony.
Uprzejme kruki, gęstemi gromady
Krążąc wokoło, wabią do biesiady.
Pobojowiska radzi godownicy,
Wilcy, tłumami ciągną z okolicy.
Zniszczenie nawet, co już w zupełności
Swe panowanie nad zamkiem rozszerza,
Tyle przestrzega bezpieczeństwa gości,
Z takiem te gody sprawia uciszeniem,
Że można słyszeć przelot nietoperza,
Chyba, że zechce przyświecić płomieniem,
To buchnie w żary przetlałym kamieniem.

27.

Przecie Nebaba żywo wyszedł z boju
I łakomego brzydkiej śmierci gardła:[1])
A choć mu rana do dna pierś rozdarła,
I w niej krew czarna kipi jak we zdroju,
I choć posoką umalował skronie,
I wzrok w strumieniu dymiącym się tonie, —
Widać po jego spokojnej postawie,
Że odpoczywa po wojennej wrzawie.

[1]) I. wydanie i następne prócz ostatniego lwowskiego: garła.

Albo też, jeszcze i dotąd męczony
Zuchwalstwem rządcy i Orliki zdradą,
Zboczył, wędrując pomimo tej strony.
By się nacieszyć obmierzłych zagładą.
W tymże kołpaku, w odzieży tej samej,
Zczerniałej trochę pod krwawemi plamy,
Siedział na złomkach wpółzgorzałej bramy,
I swoją pikę trzymał na sztych w ręce,
Jakby miał blizkie odeprzeć natarcie.
A wokrąg niego doborni młodzieńce!
Jedni, jakgdyby stanęli na warcie,
Podnieśli piki nad zgorzałą wieżą;
Tylko cierpliwi, że się ani ruszą,
Choć płomień zewsząd dogryza im srogo!
A drudzy w kole gardłem flasze mierzą;
Tylko, że nigdy dopić ich nie mogą.
Inni znów, bardziej snem zmorzeni, leżą;
Tylko, że wiecznie tym snem leżeć[1]) muszą!...
Musi on całą nasycać się duszą,
Że tak, bezwładny, wpatrzył się przed siebie;
Pewnie on w cieniach pamiątek się grzebie.
Tu każde miejsce tyle przypomina!
Gdzie w stosach żaru kurzy się perzyna,
Ten plac, bywało, uwieńczały spisy,
Kiedy swą młodzież zebrał na popisy.
Miejsce, gdzie trup ten, mordem oszpecony,
Ostatkiem czucia, życia drga ostatkiem,
Gdy mu natrętne zazierają wrony, —
Miejsce to uciech nieraz było świadkiem.
Tu szkło dzwoniło, tu grzmiały okrzyki;
Za czyjeż zdrowie? Nebaby! Orliki!
Mściwego samo udręcza wspomnienie.
Aż z pod wnętrzności wydobył jęknienie: —

[1]) I. wyd. leżyć.

Zemsty czy śmierci? w tem odgadnąć trudno.
Gdzie zwrócił ucho, by dosłyszyć wtóru,
Co może przypaść do jego czuć chóru, - -
Tu raz ostatni pieścił się z obłudną;
A dziś, o trupią skłóciwszy się głowę,
Dwa wilki wycia zawiodły grobowe.
Czegóż te ptaki, uderzając w skrzydło
I gniewnie kracząc, grzebią śród popiołu?
Strawa zapewne warta ich mozołu,
Bo wygrzebali: człowiek czy straszydło?
Zczerniałe w ogniu, wpół spieczone ciało;
Ale Nebabie rozpoznać się dało!
Nagle ku ziemi czoło mu opadło, —
I jeszcze naglej wzniosło się do góry.
„Ho-hop, Nebabo!“ — zawył głos ponury
I zpośród ognia wypełza widziadło.
A choć nie wrzeszczy szalonym chychotem,
Chociaż ją taniec nie zakręca chyży,
Bo jej wnętrzności ciężą wpół wysnute; —
I teraz jednak, gdzie się tyko zbliży,
Pląsają iskry wichru kołowrotem,
Wilki przy trupach wyją na jej nutę,
I samo trupów oblicze się zmienia.
„Wody, ach, wody!“ Popatrzyła Ksenia;
Głos jej znajomy; — i kochanka oko
Na jej się wdzięki rozwarło szeroko,
Jakby w głąb Kseni pragnęło utonąć,
Albo ją w piekło i siebie pochłonąć.
Ksenia się zbliża, z mniejszą coraz trwogą,
Oko Nebaby patrzy już mniej srogo:
Już łono z łonem, już z licami lica,
Już się i warga z wargą napotyka...
Pocałowała Nebabę dyablica..
Teraz do reszty rozporze ję pika!

Nie, — cicho siedzi, tylko mu dreszcz mały
Wyprężył członki, a źrenice zawsze,
Zawsze patrzały, patrzeć nie przestały,
Dla Kseni nawet coraz już łaskawsze.

28.

Na rozburzonem Kaniowa zamczysku,
Długo podróżnym broniący przystępu,
Długo ponęta drapieżnemu sępu,
Szkielet Nebaby lśnił w grobowym błysku,
Jak straż zaklęta w pomieszkaniu mary,
Jak mowny pomnik barbarzyńskiej kary.
Ogień, co wszystko dokoła potrawił,
Z mołodców jego śladu nie zostawił.
Poznana tylko z rany i odzienia,
Szalona Ksenia leżała na trawie,
Jeszcze w modlącej przed lubym postawie;
A w strasznej nocy zamku podpalenia
I topielicy skończyły się pienia.

29.

Gdy duch mój zwiedzał[1]) Dnieprowe pobrzeże,
I na Kaniowa odpoczął ruderze,
Jeszcze tam wkoło wyszukał on ślady
Dnia okropnego ostatniej zagłady.
Jeszcze po ścianach krew się czerwieniła,
Gdzie żona, gnana morderców pogonią,
Mytą w krwi męża chwytała się dłonią;
Żadna wywabić nie mogła jej siła,
Na miejscu startej inna wystąpiła.
Ale nieszczęsne zabójczyni ciało,
W popiół przetlałe, z wiatrem się rozwiało.
W porosłej miękką murawą uboczy
Trafił na kołtun kseninych warkoczy.
Ale w nich drobny gnieździł[2]) się już ptaszek.

[1]) I. wyd. zwidzał. [2]) I. wyd. gniezdził.

Obok leżała z Nebaby ratyszcza
Stal, od płomienia w ciemny żużel zlana.
A, błądząc długo śród skostniałych[1]) czaszek,
Odgrzebał torban między gruzem zgliszcza,
I jednę strunę z całego torbana.
Ani lat, ani pogody koleje
Nie mogły przyćmić złotego jej blasku;
A wiatr, kochanek, z poblizkiego lasku
Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje.
I jam polubił chrypliwe jej tony
I, z jej dźwiękami zczasem oswojony,
Gdym nieraz badał pilnie i ciekawie
O całej zamku kaniowskiego sprawie,
Wkońcu rozwikłać mogłem tajemnicę,
Co dało powód do zbrodni Orlice?
Gdy w ciemnej nocy przez widmy[2]) czy czarty,
Czy, jak wieść była, za rządcy namową,
Zdjęto wisielca, (odpowiadał głową,
Z pod czyjej trupa uwieziono warty),
Brat tej dziewczyny był wtedy na straży;
A serce rządcy do Orliki biło.
Życie jej brata w ręku rządcy było.
Lach, nie puszczając pory, co się darzy,
Hardej dziewczynie daje do wyboru:
Tytuł swej żony lub srogą śmierć brata, —
Żadnej przewłoki, żadnego oporu!
Biedne małżeństwo, gdzie dyabeł za swata!
I tak dla brata miłość poświęciła.
Rządcy małżeńską zaprzysięgła wiarę.
A dla miłości inną ma ofiarę:
Zabiła męża i siebie zgubiła!

30.

Mijają lata, z latami zdarzenia.
W ostatnim dymie zgasłego płomienia

---

[1]) I. wyd. skośniałych. [2]) powinno być: wiedźmy.

Wróciły w piekło szatany zniszczenia.
Świetnie przejrzały nieba Ukrainy,
Zabrzmiała śmiało cicha pieśń dziewczyny.
Czás lasem okrył ostatki ruiny.
Gdzie bojowiska czaszkami bielały, —
Ulewna burza brózdy tam zorywa,
W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
Kwiat się tam z wiosną wykłuwa[1]) nieśmiały.
Złomki szubienic świecą próchnem z ziemi.
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonymi,
Trawą usłana, mogiła zapada;
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada.
Piekła za wojną zatrzaśnięto bramę.
Znów tenże pokój i zbrodnie tesame![2]) —

---

[1]) I. wydanie i trzy następne mają: wykluwa. [2]) w I. wydaniu i wrocławskiem opuszczono trzy ostatnie wyrazy; w II. wydaniu opuszczono dwa ostatnie wiersze.

Objaśnienia.

Goszczyński jako Ukrainiec używał wymowy, właściwej Polakom z wschodnich kresów dawnej Rzeczypospolitej. W tensam sposób pisał w czasie, gdy ogłaszał Zamek Kaniowski, a więc: coż, ktoż, dwoch, czołenko, spiew, sciemnić i t. d. Zaznaczyliśmy to w przypiskach u spodu tekstu. Część objaśnień pochodzi niezawodnie od samego poety, co oznaczyliśmy literami P. A. (przypisek autora), część podano w I. wydaniu jako przypiski wydawcy pod literami P. W., który to sposób zachowaliśmy i w niniejszem wydaniu.

Część pierwsza.

w. 1. „Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże“. — W powstaniu na Ukrainie w r. 1768. zamek kaniowski, również jak kilka innych w tej okolicy, był zburzonym i spalonym przez hajdamaków. Jest podanie, iż żona rządcy czyli, jak wtenczas nazywano, gubernatora zamkowego, pojmana przez kozaków i już ranna potrafiła się jeszcze im wymknąć, a uciekając przed ich pogonią po pokojach i wałach zamkowych, coraz słabsza opierała się o ściany, póki jej nie dognano i nie zamordowano do reszty. Gdzie tylko dotknęła się ścian ręką skrwawioną, zostały ślady; i mówią, że krwawe te znaki nigdy się nie dały zatrzeć i trwały dopóty, dopóki tylko były jakie szczątki murów zamkowych. Te zresztą gruzy dopiero przed kilku laty znikły zupełnie. — Kaniów jest małe i liche miasteczko; mieszczanie jego i magistrat mają jeszcze niektóre swobody i przywileje, nadane im od królów polskich. Leży w prześlicznem położeniu nad Dnieprem, rozrzucone pośród urwistych brzegów jego. P. A.

w. 5. jar — wąwóz wśród wyżyny.

w. 20. „Złośliwy obłęd igra po rozdrożu“. Podług mniemania ukraińskiego ludu nawet zbłądzenie w podróży nie jest dziełem przypadku. Czart, którego tam wszędzie pełno, ściga wędrowców i rozmaitymi sposobami stara się ich w bezdroża wprowa-

dzać; a wicher nocny uważanym jest za pierwsze jego narzędzie do obłąkania i najświadomszych nawet położenia miejsca. (P. A.)

w. 22. rozdoły — zapadliska, bagniska.

w. 23. poryka — porykuje.

w. 30. szyldwach (z niem.) — strażnik.

w. 40. majaczeje — wyraz miejscowy. Słowo *majaczyć* nie ma może odpowiedniego w czystej polszczyźnie; migać w dalekości, ćmić się, ukazywać — tłómaczy jakożkolwiek jego znaczenie. Właściwie polskie *majaczyć* co innego wyraża. (P. W.)

w. 43. janczarka — rodzaj strzelby tureckiej (P. W.)

w. 59. „Luba puszczyka siedzi naperzona.“ — Rozmowa puszczyków, jak i cała myśl prologu, jest osnuta na wyobrażeniu gminu, iż dyabli wybierają nocy ciemne i burzliwe do wyprawiania swych pustot i że puszczyki dlatego się śmieją, iż widzą wszystkie harce i dokazywania tych istot, które nasza mitologia gminna wpół strasznemi, wpół komicznemi wystawia Prócz poetyczności pomysłu autor miał i tę pobudkę wprowadzić rozmowę puszczyków w swój czarodziejski prolog, że takowe pożyczania mowy ptakom często się natrafia w pieśniach i dumach ukraińskich, a właśnie jego zamiarem było korzystać ze wszystkich skarbów gminnej poezyi naszej. (P. A.)

w. 77. burka — wierzchnia odzież.

w. 113. rusznica — rodzaj strzelby.

w. 136. otumanić — obłąkać, zaćmić zmysły, — coś podobnego. Prowincyonalizm. (P. W.)

w. 206. błądzące ognie — błędne ogniki, znane baśniom ludowym całej Polski, szkodliwe ludziom, których prowadzą często do zguby. W rzeczywistości jest to blask fosforu, pojawiający się nad bagniskami.

w. 207. gwiazda świetna, wesoła, — słońce.

w. 247. łuno — w dobrej polszczyźnie i w Lindem: łuna lub łona. Autor tak zawsze używa tego wyrazu. (P. W.)

w. 257. wieczornica — zabawa wieczorna.

w. 262. bandurka — rodzaj trzystrunnej lutni.

w. 274. „Tam nieszczęśliwy, znikły we złym wichrze,
Czerwony upiór i t. d.“
Są to wszystko wyobrażenia ukraińskiego ludu. Według mniemań jego wiatr, kręcący się po polu, który wreszcie po tutejszych nieobejrzanych płaszczyznach nierzadko widzieć, jest coś niezmiernie złego. Opowiadają przykłady ludzi, których wicher

ten spotkał na swojej drodze i którzy odtąd, nie wiedzieć gdzie, zniknęli. Inną razą nóż poświęcony, rzucony w słup kręcącego się wichru, upadł na ziemię w tem miejscu, krwią obryzgany. Do tego wyobrażenia stosuje się wiersz w Maryi Malczewskiego:

„Ale że czart na stepie tumany wyprawiał.“

Spadająca gwiazda jest, podług ich mniemania, latawiec (rodzaj powietrznego złego ducha.) O jego miłostkach z kobietami często posłyszyć można. Myślą także, iż zmarłe bez chrztu dzieci błąkają się w powietrzu, jęcząc i narzekając, póki kto nie ośmieli się ich przywołać i chrztu udzielić. (P. A.)

w. 276. z odźwierka — z odrzwi.

w. 278. cyrka — wyraz miejscowy; znaczy: skrapiać, tryskać. (P. W.)

w. 282. „Cyt! „Ho-hop, ho-hop!“ odgłos smutny, znany.“ Wprowadzona tu osoba topielicy Kseni jest także myśl, pojęta w duchu miejscowych wierzeń i uprzedzeń. Nic się w Ukrainie ważnego nie stanie, czegoby nie przepowiedziało nadzwyczajne zjawisko, — coś dziwnego, coś tajemniczego. Bunt ukraiński, który tu nazywają *koliszczyzną* i szczególniej rzeź humańska, o której nawiasem wspomniemy (są współczesne i przez świadków pisane poemata i opisy, zapewnie nędzne pod względem sztuki, lecz ważne jako najwierniejszy obraz tej krwawej dramy), miała także być zwiastowaną przez nadprzyrodzone widzenia: między innemi przez dziwną, obłąkaną kobietę, czy opętaną, która z hukami i niezrozumiałą mową przebiegała sioła Ukrainy. Nie mam ja tu myśli tłómaczyć albo usprawiedliwiać autora; zwracam tylko uwagę na miejcowy koloryt obrazu. (P. A.)

w. 299. skołtuniony -- kołtun (plica polonica), włos skręcony i zbity, nie dający sie rozczesać.

w. 323. ataman (z niem. Hauptmann), —dowódca odziału kozackiego.

w. 324 drużyna (od: druh) — blizkie sobie towarzystwo.

w. 326. mołojec (z małor. mołodeć) — młodzian, junak.

w. 341. bajdak—gatunek łodzi, używanej na Dnieprze. (P. W.)

w. 346. sełedec (z małor.) — Kozacy ukraińscy noszą krótko strzyżoną głowę, z długim na boku kosmykiem włosów, który zwykli wplatać we wstążki, miłosne upominki swych dziewic. (P. W.)

w. 411. kindżał — rodzaj białej broni.

w. 423. swacha — swatka (P. W.)

w. 441. „Czy się spodziewać starosty przybycia?“ — Mikołaja Potockiego, dziedzica tych włości. (P. W.)

w. 448. rzęsny — rzęsisty.

w. 451. torban — teorban, ukraiński instrument muzyczny.

w. 460. stuła — rodzaj sukni, którą wdziewają duchowni chrześcijańscy przy sprawowaniu sakramentów.

w. 565. larwa (z łac.) — straszydło, poczwara.

w. 625. czerepiany — gliniany.

w. 627. nieochajny — prostacki, nieokrzesany.

w. 635. adamaszek (z Damaszku) — materya jedwabna.

Część druga.

w. 31. czahar — las drzew rozmaitego gatunku. P. W.

w. 32. Szwaczka — jest to prawdziwe nazwisko kaniowskiego mieszczanina, który tamże robił powstanie w r. 1768. P. A.

w. 43. „Leć do starosty. On śród Bohusławia
Poi gromady, rozstrzeliwa baby.“
Mikołaj Potocki, banit, starosta kaniowski i bohusławski. Jest to jedna z osób, żyjących w podaniach gminu. Jego życie, bezprawia, później pokutę opowiadają w tysiącznych szczegółach. Są pieśni o nim, o jego miłostkach i okrucieństwach. Jeszcze teraz można znaleźć starców, którzy go znali osobiście, a powieść ich, lubo nie w tak dalekie przenosi się czasy, ale w jakże dalekie od nas obyczaje i zdarzenia!
Starosta kaniowski leży w Poczajowie i jego ciało pokazują ze szczególną attencyą miejscowi księża Bazylianie.
On to wskutek pokuty za nabrojone w Ukrainie sprawki pyszny ten klasztor wydźwignął i nadał. P. A.

w. 65. kołpak — czapka wysoka, ku górze kończasta.

w. 76. futor — zagroda na łące lub pośród lasu, w pewnem oddaleniu od wioski. P. W.

w. 132. szram — szrama, blizna.

w, 140. Sicz — główna siedziba Zaporożców i stolica pierwszego ich atamana. Leżała na wyspie Dnieprowej.

w. 152. uśpieli — pośpieszyli się.

w. 171. toja — u botaników: tojad mordownik. Własności jego narkotyczne uważa lud za lekarstwo na smutki. P. W.

w. 296. jucha — krew bydlęca, pogardliwie i ludzka.

w. 315. harcować — tutaj: skakać na koniu w różne strony.

w. 339. biegun — koń bystry.

w. 344. bajrak — lasek zarosły śród wąwozów. P. W.

w. 364. jar — wąwóz (na wyżynie).

w. 516. dzieci Solimy — żydzi.

w. 557. „Pan wojeda z Gontą kończy dzieło;
Wkoło szubienic stawia tysiącami.“
Wojewoda Stempkowski poskromił bunt ukraiński. Trzeba wyznać, że kary nie ustępowały w srogości zbrodniom przestępców; one rozjątrzyły jeszcze bardziej niż przestraszyły lud ukraiński P. A.

w. 670. łuną — forma powszechna, mylnie jednak wydrukowano, zam. *łunem* (od łuno), jak stale pisze Goszczyński.

w. 673. watażka — herszt. P. W.

w. 690. czerń — zbuntowane pospólstwo.

Część trzecia.

w. 30. sprzągły — dla rymu, zamiast: sprzęgły.

w. 43. Ławra (peczerska) — klasztor przy pieczarach czyli grobach wielu świętych i błogosławionych w Kijowie P. W.

w. 93. puść strunę! urwiesz — mylnie wydrukowano, zamiast: puść strunę urwiesz.

w. 109. kostur — kij dziadowski.

w. 118. grat (z niem. Geräth) — przedmiot bez wartości.

w. 130. ratyszcze — spisa, włócznia. P. W.

w. 145. bandurka — rodzaj lutni.

w. 168. bezpięty — czart.

w. 223. karosz — koń czarnej maści.

w. 229. to — mylnie wydrukowano zamiast: te.

w. 267. w piątrach — w piętrach.

w. 312. „O, nieraz może na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona itd.“
Jest to szczegół, dochowany tradycyą. Podczas ciągłych nabiegów tatarskich, kiedy lud okolicy widział, że horda w pobliżu koczuje, dla bezpieczeństwa zostawiał jednego ze swoich na jakiej wyniosłej i panującej mogile lub na wierzchu wysokiego dębu, aby upatrywał Tatarów i dawał znać o zajrzanych wywieszeniem białej chorągwi lub chustki. Lud, pracujący po polach, skoro zajrzał bielejące znamię popłochu, uciekał w znajome sobie kryjówki. Ukraiński telegraf!
To mi napomina drugi szczegół. Słyszałem od mieszkańców pamiętnego w naszych dziejach miasta Czehryna tak tłumaczony początek zwyczaju, powszechnego w Ukrainie, a zwłaszcza w tej okolicy, zbierania się ludu, szczególniej chłopców i dziewcząt na środek sioła, który oni nazywają *ułycia*, ulica, dla śpiewania różnych pieśni, co się nieraz daleko w noc przeciąga. W czasie koczowania hordy w tych stronach lud wie-

dząc, jakie klęski ponosi, kiedy na śpiących natrafią Tatarzy, żeby zawsze miał przytomność i gotowość chronić się w razie niebezpieczeństwa, na noc zbierał się razem i dla odpędzenia snu śpiewał narodowe dumy i pieśni. Zwyczaj został, chociaż niebezpieczeństwo, co mu dało początek, minęło. Dalsze wiersze oddają sprawiedliwą zapłatę zasługom cienistych dębów Ukrainy, które w ciągłych zaburzeniach i wojnach zapewne niejednemu, chroniącemu się od śmierci, były pewniejszą opieką niż ściany własnego jego domu. P. A.

Do całego tego ustępu o dębie odnosi się zdanie, umieszczone w IV. ks. Pana Tadeusza:

„Wszak ów dąb gaduła
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa.“

w. 335. „Albo ten wieczór, ten ogień Kupały!“
Zwyczaj palenia ogniów w wilią św. Jana (polskie Sobótki) zasięga dalekiej starożytności; on się i w Ukrainie przechował. Nazywają go tu *Kupało.* Pospolicie, kiedy dziewczęta wiejskie zaczną swój obrzęd, do którego i kąpanie się należy, młodzież płci drugiej wybiera te chwile, żeby na nie niespodzianie napaść; wtedy cicha nocna scena zmienia się w najtłumniejszą: krzyki, śpiewy rozlegają się w powietrzu. W 1826. roku autor widział podobną scenę na rzece Taśminie; tu ona się odbywa przy jednej z najpiękniejszych wód w Ukrainie. Jezioro i wieś Białozor leży blizko Śmiły w rozległych sosnowych lasach; znacznego ogromu szyba, jasna, błękitna, zwierciadlana, błyszczy śród rozstępu siniejących lasów; wieś prawdziwie ukraińska, dobrze zabudowana, ludna, mająca zapewnie do 2000 samych dusz męskich, rozciąga się prawie wkoło jeziora. Obraz świateł rybackich na jeziorze, wspomniany w tekście, powtarza się tu każdego wieczora i tworzy prześliczną illuminacyę. P. A.

w. 346. oczeret — trzcina. P. W.

w. 379. „Cóż to za dziwna strona się odsłania? itd.“
Widok ten jest prawdziwie rysowany z natury. Zaraz za miasteczkiem Moszny ciągną się na szerokości może trzech werst (wiorst) bagna i trzęsawiska, nazywane I[illegible]yń. Najpewniej jest to stare łoże Dniepru. Prawy brzeg tych bagien otoczony jest wysokiem pasmem gór, wznoszących się piętrami, rozciągnionych szeroko i okrytych gęstym lasem. W tem miejscu, to jest na pośredniem paśmie, hrabia Woronców, właściciel miejsca, założył pałac i zwierzyniec, na 8 wiorst rozciągniony po górach. Pałac otoczony jest zabudowaniami wiej-

skiego gospodarstwa; wszystko proste, lecz najgustowniej urządzone; i każdy dziedziniec ze swemi zabudowaniami składa najpiękniejszą formę angielską. Dziedzińce ubrane w drzewa i krzewy; mury domów w porozpinane gałęzie akacyi białej i płaczącej; schody, ganki, balustrady — w kwiaty i różnokolorowe pachnące powoje. Lecz samo położenie piękniejszem jest nad wszystko. Z jednego punktu, trochę wyżej za pałacem, jest szczególny widok, prawdziwie nieogarniony. Jest to cypl jednej góry, nie najwyższej jeszcze; pod nogami masz widok pałacu i kwiecistych dziedzińców, schody gór, okrytych lasem; dalej pierwszym planem obrazu są bagna Irdynia, zarosłe oczeretem i gdzieniegdzie olchą; za niemi widok miasteczka Moszen; dalej jeszcze rozciąga się Dniepr jakby siną wstążką, — a tam z drugiej strony nizkie, piaszczyste brzegi, wsie, miasteczka i monastyry już połtawskiej gubernii. Oko ma zewsząd otwarty widok na promień siedmiu lub ośmiu mil wokoło. P. A.

w. 413. koszowy — przełożony nad koszem (obozem) kozackim.

w. 416. kurzenia — tak nazywają poziome chaty kozackie i strażnicze szałasy, z których dym, nie mając oddzielnego dla siebie otworu, wychodzi całą powierzchnią słomą krytego dachu. P. W.

w. 417. tabun — stado koni.

w. 427. poroh (z małor.) — próg skalny, tworzący wodospad.

w. 477. szłapiąc — jadąc.

w. 487. „Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie“.

W istocie wojska polskie pierwszy raz doścignęły powstańców w pobliżu Moszen na Irdyniu. Zdarzyło się autorowi, iż, będąc w tej okolicy, słyszał właśnie na miejscu opowiadanie o tem spotkaniu przez czerńca dozorcy młyna, należącego do poblizkiego monastyru, naocznego świadka. Tu Irdyń nie jest tak grzązki; w suchą porę daje się przejeżdżać; w większej części zarosły olchami niepospolitej wielkości; gdzieniegdzie tylko biją zdrojowiska i stoją wody. Wszędzie po lasach sosnowych od Śmiły aż do Moszen były kurzenia hajdamackie i tradycya pokazuje te miejsca.

Tu właśnie jest miejsce powiedzieć, jak potrzeba żałować, że nie mamy ani dobrej mapy starożytnej ani szczegółowej geografii, ani zbiorów żadnego historycznego interesu, choćby historycznej ciekawości. Uczony metropolita kijowski, Eugeni, za pomocą należącego do siebie duchowieństwa i odezwy do obywateli krajowych zaczął zbierać te drogie za-

bytki przeszłości, lecz nie wiemy, jaki skutek wezmą jego starania, zależące od osób, po większej części lub obojętnych lub nie znających ceny tych walających się w pyle ich nóg pamiątek. Dziś jeszcze za każdym krokiem napotykają się nierozorane do szczętu mogiły pod trawą i lasem, ostatki zamczysk polowych i słyszeć można ciekawe o miejscowych wypadkach podania. Ale my to puszczamy mimo oka i ucha; tymczasem wiek mija, pług równa dzieło czasów minionych, pokolenie po pokoleniu wymiera, a my tracimy skarby, których nawet nie znamy wartości. P. A.

w. 493. sobie — mylnie wydrukowano zamiast: jeszcze.
w. 573. gdzie — mylnie wydrukowano zamiast: gdzież.
w. 846. płacha — klinga, lama. P. W.
w. 1000. rudera — zwaliska, ruiny.

